POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień Bibl. Jag. ***Dnia 21-go marca 1942r.*** **Rok IV. Nr. 12**

Na drogach do trwałego pokoju

W przyszłej organizacji Europy i świata wiele rzeczy będzie musiało ulec zmianom, jeśli ludzkości ma być zaoszczędzony nowy kataklizm wojny i zapewniony pokój choćby nie wieczysty, ale przynajmniej trwalszy od pokoju ostatniego ćwierćwiecza.

Rozbrojenie Niemiec, być może ich rozbicie, stworzenie różnych federacji i związków ponadpaństwowych, szeroka współpraca gospodarcza—oto drogi, prowadzące do trwałego pokoju. Jak wyglądać będzie gmach organizacji międzynarodowej po wojnie trudno jeszcze przewidzieć. Ale jedno jest pewne: jeśli pokój ma być naprawdę trwały, musi być raz na zawsze przekreślona, wyklęta, wymazana ze słownika międzynarodowego ta idea, która stała się jedną z głównych przyczyn wojny i dzisiejszych nieszczęść ludzkości: idea neutralności.

Nie można dopuścić do tego, by powtórzyła się historia z roku 1919, kiedy to pakt Ligi Narodów próbował uśmiercić niebezpieczną doktrynę neutralności, lecz ona po pewnym czasie odżyła na nowo, stając się cennym sojusznikiem Niemiec i źródłem okropnych cierpień dla wszystkich narodów pokojowych, a wśród nich także dla najzagorzalszych zwolenników tej idei. Tym razem idea neutralności musi być wydarta z korzeniami, tak, by już nigdy odrodzić się nie mogła.

Na szczęście można stwierdzić, że są po temu szanse. Sami Niemcy i przebieg wojny obecnej musiał przekonać najgorętszych "neutrałów," że ta idea nie popłaca i że należy jej się ostatecznie wyrzec.

Jeszcze w wojnie 1914-1918 sytuacja była inna. Neutralność była nie tylko uważana za postawę uczciwą, ale ponadto—popłacała. Szereg państw neutralnych, jak np. Holandia, Hiszpania, Szwecja, Norwegia czy Dania obłowiły się suto na wojnie. Pośredniczyły, handlowały ze wszystkimi i zarabiały doskonale.

I gdy pakt Ligi Narodów zmusił wszystkich członków tej instytucji do wyrzeczenia się neutralności, wiele państw uczyniło to niechętnie. Owszem, przyjęto zobowiązania do udziału w sankcjach politycznych, gospodarczych, a nawet wojskowych, przeciw napastnikowi, do przepuszczenia wojsk, śpieszących na pomoc napadniętemu i t.d., ale nie było zapału do dotrzymania tych zobowiązań. Większość państw bez żalu przypatrywała się kruszeniu zasad Ligi Narodów i w ostatnich latach przed wojną nastąpił powszechny nawrót do neutralności. Wiele było narodów, którym się zdawało, że wystarczy ogłosić: "my jesteśmy neutralni," aby uniknąć wciągnięcia w wojnę . . .

Aby uświadomić sobie tragiczne następstwa idei neutralności wystarczy wyobrazić sobie, co by było, gdyby choćby te zasady, jakie wysunął pakt Ligi Narodów, zostały utrzymane i nie nastąpił powrót do neutralności. W tym wypadku natychmiast po napaści niemieckiej na Polskę we wrześniu 1931, wszystkie państwa należące do Ligi Narodów byłyby zobowiązane zerwać stosunki dyplomatyczne z Niemcami, podobnie jak i stosunki gospodarcze. Z dnia na dzień Niemcy utraciliby wszystkie swe placówki dywersyjno-szpiegowskie, jakimi są ich ambasady i konsulaty. Co ważniejsze jeszcze, znaleźliby się w trudnej sytuacji gospodarczej, mieliby bowiem odcięty dowóz surowców i żywności.

Ale to był tylko najskromniejszy obowiązek państw Ligi. Poważniejszy był obowiązek przepuszczenia sił zbrojnych, śpieszących na pomoc napadniętemu. Na tej podstawie Belgia i Holandia były obowiązane przepuścić armie francuskie i brytyjskie pragnące obejść linię Siegfrieda i uderzyć na Niemcy i.t.d.

I to jeszcze nie wszystko. Rada Ligi Narodów mogłaby wyznaczyć siły wojskowe, których dostarczyłyby poszczególne państwa do walki z napastnikiem. I wyobraźmy sobie, że tylko tych kilka państw, które z biegiem czasu zostały zaatakowane przez Niemcy, już wówczas same przystąpiłyby do wojny i uderzyły na Niemcy: Belgia, Holandia, Norwegia, Jugosławia, wreszcie Rosja . . . Zablokowane całkowicie, atakakowane przez kilkanaście państw, zmuszone do wojny na kilku frontach, Niemcy pomimo całej swej potęgi, uległyby bardzo szybko . . .

Zresztą, można zaryzykować twierdzenie, że gdyby w 1939 nie było idei neutralności i gdyby zasady akcji zbiorowej przeciw napastnikowi mogły być wprowadzone w życie, to w ogóle do wojny by nie doszło. Niemcy wszystkie swe plany opierały na zasadzie: "jeden po drugim"—zamierzały rozprawiać się z każdym ze swych przeciwników pojedyńczo. Gdyby wiedziały, że przyjdzie wojować ze wszystkimi sąsiadami naraz, stawić czoła połączonej sile głównych narodów Europy, a także Rosji i St. Zjednoczonych, to niewątpliwie—rozmyśliły by się.

Wiemy, wypadki potoczyły się zupełnie inaczej. Wszystkie niemal państwa szukały bezpieczeństwa w "neutralności," czepiały się nadziei, że napastnik pozostawi je w spokoju.

Kolejna napaść Niemiec na szereg państw neutralnych zadała idei neutralności cios poważny. Wczorajsi entuzjaści neutralności, np. Norwedzy czy Belgowie, zaklinają się, że nigdy już do niej nie powrócą. Ale idea neutralności bynajmniej całkiem jeszcze zniszczona nie została.

Zlikwidowanie tej idei powinno być jednak ułatwione przez dwa czynniki. Po pierwsze—liczba państw neutralnych jest już dziś znacznie mniejsza, niż w poprzedniej wojnie i nim zawarty będzie pokój, niejeden z pozostałych jeszcze "neutrałów" zostanie w wojnę wciągnięty. Po drugie—neutralność przestała popłacać.

Już dziś "neutrałów" policzyć można na palcach. W Europie mamy sześć państw neutralnych, ale tylko jedno, może dwa ma poważniejsze szanse zachowania tej neutralności do końca wojny. W tej sytuacji jest Szwajcaria, która zresztą zawdzięcza swą neutralność jedynie swym . . . tunelom. Niemcy zostali uprzedzeni, że w razie gdyby zaatakowali Szwajcarię, armia szwajcarska wysadzi w powietrze tunele alpejskie, przez które przechodzą linie kolejowe, łączące Niemcy z Włochami. Odbudowa ich wymagałaby lat, a w międzyczasie Włochy, pozbawione dowozu, w szczególności węgla znalazłyby się w sytuacji bez wyjścia.

Szwecja także ma pewne szanse utrzymania neutralności, ale już mniejsze od Szwajcarii. Musiała w swoim czasie zgodzić się na ustępstwa dość trudne do pogodzenia z neutralnością. Znajdując się pomiędzy Finlandią, która walczy u boku Niemców i którą Niemcy radziby zaopatrywać poprzez szwedzkie terytorium, a ciemiężoną przez Niemców Norwegią, Szwecja jest narażona na naciski wszelkiego rodzaju i w pewnym momencie może zostać wciągnięta w wojnę. Gdyby np. wojska sprzymierzone wylądowały w Norwegii, lub pomaszerowały poprzez Finlandię na odsiecz Norwegom—czy Szwecja potrafi wówczas zachować neutralność?

Hiszpania nie może być uważana za stuprocentowo neutralną. Zrywając stosunki dyplomatyczne z Polską dowiodła już, jak bardzo jest zależna od Niemiec. Jest wysoce wątpliwe, czy prędzej lub później nie będzie zmuszona przez Hitlera do jeszcze ściślejszego zaangażowania się w wojnie. Jeśli, zaś Hiszpania zostanie wciągnięta, to i Portugalia nie zdoła uniknąć tego losu, aczkolwiek jej neutralność jest korzystna dla obu stron, czyniąc z niej centralę szpiegowską podobną do tej jaką Szwajcaria była w czasie poprzedniej wojny.

Turcja jest raczej państwem niewojującym, aniżeli neutralnym. Jest lojalnym sojusznikiem W. Brytanii. Wprawdzie nie wystąpiła czynnie w okresie inwazji Bałkanów, ale sprzymierzeni mogą jej być raczej za to wdzięczni, gdyż byłaby już zajęta przez Niemców, tak zaś jej poważne siły stanowią nietkniętą rezerwę. Wiele przemawia za tym, że Niemcy w pogoni za naftą zechcą poprzez Turcję dostać się na Kaukaz, do Persji i do Iraku i że zaatakują Turcję już na wiosnę.

Wreszcie jest Irlandia fanatycznego pana de Valera, który bardzo pragnie zachować neutralność, ale sam oświadczył, że tylko cud może uchronić Eire od wciągnięcia w wojnę. Bazy irlandzkie są zbyt ważne, by Sprzymierzeni mogli tolerować bezbronność tego państwa i bezkarne knowania agentów niemieckich na jego terytorium.

Poza Europą potężną grupę "neutrałów" stanowiły do tej pory republiki amerykańskie. Teraz jednak, po konferencji w Rio de Janeiro, trudno uważać te republiki za neutralne. Niemal wszystkie zerwały stosunki dyplomatyczne i gospodarcze z państwami osi, nie traktując zaś St. Zjednoczonych jako państwa wojującego, czyli zezwalając Stanom na korzystanie z baz, przekreśliły jedną z głównych zasad neutralności. W znacznej mierze zastosowały one zasady Ligi Narodów. Ich gest jest może nieco tani, gdyż nie grozi im zbrojna reakcja osi, nie mniej jednak o tyle zasługuje na uwagę, że w przeciwieństwie do wielu państw europejskich dobrowolnie wyrzekły się neutralności, podczas gdy St. Zjednoczone, Rosja, Holandia, Belgia, Norwegia i t.d.—wszystkie czekały aż do chwili, gdy zostaną zaatakowane.

Wolno stwierdzić, że doktryna neutralności otrzymała ciężki cios. Niedobitki neutralności, jakie jeszcze istnieją, potwierdzają tylko przez swą niepewną, dwuznaczną, niewdzięczną sytuację, że na neutralnych w dzisiejszej wojnie miejsca nie ma.

Jest to sprawa nie tylko moralności międzynarodowej, ale także dobrze zrozumianego interesu własnego. Czołgi, które uderzyły na Rosję jechały na benzynie, dostarczonej jeszcze na krótko przedtem Niemcom przez Sowiety. Bombowce niemieckie, które zrównały z ziemią Białogród, były wykonane z aluminium, wytwarzanego z jugosłowiańskiego bauksytu. Stal, która zmiażdżyła Norwegię, pochodziła z rud szwedzkich, przewiezionych przez Narwik . . .

Z tego wszystkiego narody świata muszą wyciągnąć wnioski. Muszą uznać, że tak samo jak w życiu codziennym nie można być neutralnym wobec zbrodni, tak nie można być wobec niej neutralnym w życiu międzynarodowym. Neutralność musi być raz na zawsze zlikwidowana.

ALEKSANDER BORAY

WIADOMOŚCI POLSKIE

Dn. 9.X.1941 Nr. 52

"Nie mogę nigdy zapomnieć rozwydrzenia innej części, dość, niestety, licznej, która nie wahała się nigdy prowadzić w wojsku na froncie agitacji o charakterze destrukcyjnym w stosunku do dyscypliny wojskowej, skierowując przede wszystkim wszystkie swe niecne ataki przeciwko mnie, jako Naczelnemu Wodzowi."

(Józef Piłsudski)

"RZECZOWA KRYTYKA" NACZELNYCH WODZÓW

Naprzód nieco historii z ostatnich 100 lat.

Nieokiełznana publiczna krytyka ulicznych strategów spowodowała ustąpienie gen. Chłopickiego, który zresztą wykorzystał tylko okazję do usunięcia się od sprawy, w którą nie wierzył. W ten sposób powstanie listopadowe utraciło jedynego wodza, który swymi kwalifikacjami dorastał do zadań.

W roku 1917 po nieudanej krwawej ofensywie francuskiej nieprzytomna krytyka w kawiarniach, prasie i parlamencie nie tylko powoduje ustąpienie Naczelnego Wodza gen. Nivelle, ale doprowadza w wojsku do szerokich buntów, które musiały być krwawo tłumione przez gen. Pétain'a i o mało nie kosztowały przegranej wojny.

W rok potem, kiedy po raz drugi Niemcy przekroczyli Marnę i zagrozili Paryżowi, znów podniosły się fale publicznej rzeczowej krytyki. Zdusiła je jednak żelazna ręka premiera Clemenceau.

Krytyka wodza wybucha zwykle w okresie niepowodzeń operacyjnych i działa rujnująco na stan ducha wojsk i tak już wstrząśniętych przez wydarzenia wojenne. Żeby się bić, żołnierz musi wierzyć w swego wodza. Publiczna krytyka może niepowodzenia zamienić w klęskę. Dlatego każde świadome swej odpowiedzialności kierownictwo państwowe przy pomocy cenzury nie dopuszcza do krytyki Naczelnego Wodza i nawet uzasadnione zmiany na tym stanowisku stara się przeprowadzić możliwie po cichu, w okresie operacyjnego spokoju, unikając przy tym wszelkich jaskrawych akcentów. Tak było z dymisjami: gen. Moltkego w roku 1914, gen. Falkenhayna, Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, gen. Conrada Hötzendorfa i marszałka Joffra w roku 1916. Zarządziła je głową państwa po dyskretnym zasięgnięciu opinii innych dowodzących generałów.

Publiczna krytyka Naczelnego Wodza w czasie wojny nie jest n i g d y "rzeczowa," gdyż n i g d y nie opiera się na prawdziwych danych, które znajdują się w tajnych aktach sztabów: własnego, sprzymierzonego i nieprzyjacielskiego, a zawsze kieruje się pozorami i sympatiami, a karmi plotkami. A że załamuje ducha żołnierza jest zbrodnią przeciwko sile obronnej państwa.

Zdecydowaliśmy się ogłosić powyższe uwagi, ponieważ doszły nas wiadomości, że z rąk do rąk podawane są odpisy "dokumentów" treścią swą szarpiące autorytet obecnego Naczelnego Wodza, uwłaczających Jego czci i wstrząsających duchem żołnierza, który przygotowuje się do walki pod Jego kierownictwem. Byliśmy świadkami podobnej akcji zbrodniczej w latach 1918—1919, kiedy marsz. Piłsudskiemu zarzucano rozmyślne zaniedbywanie obrony Lwowa, porozumiewanie się z nieprz.—niemal zdradę. Dziś dywersanci korzystają z tego, że niema w kraju polskiej władzy i cenzury, a okupant raczej pochwyci z radością tak świetną okazję, by zadać cios niezłomnemu dotychczas naszemu duchowi. Wzywamy do zaprzestania tej szaleńczej działalności i żądamy odłożenia "rzeczowej krytyki" do czasu zakończenia działań wojennych i to zarówno w stosunku do byłego, jak i obecnego Naczelnego Wodza.

Posiadamy dokumenty, które we właściwym świetle postawią autorów zbrodniczych oskarżeń.

W związku z dyskusją, która objęła także łamy naszego pisma (por. nr. 5 i 10) przytaczamy znamienny głos pisma tajnego z Kraju.

W obronie polskiego języka wojskowego

Zdaje mi się, że jest już wielki czas podnieść głos w obronie czystości naszego języka wojskowego, a i w ogóle w obronie polszczyzny.

Przedziwna rzecz, jak nasze warunki emigracyjne pokaleczyły ten język. W sprawach wojskowych siłą rzeczy pisze się teraz i mówi dużo. Pisze i mówi niemal każdy, nie troszcząc się bynajmniej o to, by sprawy te znać i by wyrażać się ściśle. Stąd natłoczyło się do emigracyjnej gwary wojskowej mnóstwo najdziwaczniejszych dziwolągów, rozmaitych *"efektywów,"* *"gliderów,"* *"ślizgowców,"* etc., nie wspominając już o tym, że i słowa, a raczej terminy, używane w języku wojskowym, przez, powiedzmy szczerze, niechlujnych pisarzy i mówców, używane są bez najmniejszego zastanowienia się nad ich treścią. Dlatego to wielokrotnie nie jesteśmy w stanie zrozumieć po prostu co dany pisarz, czy dziennikarz, chce wyrazić, a jeszcze częściej wzdrygamy się boleśnie nad dziwacznym użyciem słów prostych, o zdawna ściśle określonym znaczeniu.

Kiedy ostatnio w jednym z dzienników ukazał się raptem *"Szef Korpusu,"* spotykający Naczelnego Wodza po podróży, odczułem wyraźnie, że jest już naprawdę czas porozmawiać nieco o terminologii wojskowej. Dla nas wojskowych, ten *"Szef Korpusu"* jest zaiste prawdziwym dziwolągiem. Przyzwyczailiśmy się bowiem rozróżniać wyraźnie w naszej terminologii *"dowódcę"* od *"komendanta,"* *"szefa sztabu"* lub *oddziału* sztabu lub *szefa* pewnej *służby* od nich obu. W danym wypadku domyślaliśmy się, że chodzi przecież o *"Dowódcę Korpusu,"* nie mniej ozdobienie go tytułem *"szefa"* nie tylko raziło nas mocno, ale i śmieszyło.

Ta bezceremonialność z jaką obchodzą się panowie dziennikarze z terminologią wojskową, nie tylko zaciemnia wielokrotnie myśl, ale i kaleczy język. Zaiste jest rzeczą zdumiewającą, jak mało poświęcamy uwagi czystości naszego języka, zapominając pono o zdawna wyrażonym życzeniu przez niejakiego Imci Pana Reya z Nagłowic: "Niechaj narodowie wżdy postronni znają, że Polacy nie gęsi, że swój język mają".

Z jaką starannością i pieczołowitością stoi pisarz francuski na straży piękna, czystości i przejrzystości swojego języka. Jak wiele uwagi poświęca dziennikarz i pisarz angielski, by nadać jak najbardziej przejrzystą formę każdej swej myśli, by ją wyrazić jak najpoprawniejszą angielszczyzną.

Inaczej Polak. I to tym dziwniejsze, że właśnie teraz na obczyźnie, zdawało by się powinniśmy jak najbardziej dbać o zachowanie całego piękna i odrębności naszego języka. Robimy wręcz odwrotnie. Nie zastanawiamy się wcale nad tym, by myśl naszą wyrazić jasno, by dla określonego pojęcia zastosować właściwe słowo lub termin. I z wielką ochotą tworzymy dziwolągi wręcz nie do przyjęcia w naszym języku, zapożyczając bezceremonialnie obce słowa tam, gdzie od dawna posiadamy piękne słowo polskie.

Tymczasem już po pierwszej wojnie światowej, a nawet u jej schyłku, pracowały przeróżne komisje słownictwa wojskowego, by ściśle określić pojęcie, by znaleźć dla ich wyrażenia odpowiednie terminy.

I nie biedzili się nad tą sprawą jacyś domorośli poloniści wojskowi, lecz w owych komisjach pracowały największe powagi naukowe w tej dziedzinie, jak śp. prof. Antoni Kryński i Stanisław Szober, żeby wymienić tylko tych dwu uczonych. Mnóstwo rzeczy wtedy przedyskutowano, ustalono, przeniesiono do słowników wojskowych i ugruntowano w regulaminach.

Może nie wszędzie powiodło się nam w tym okresie posunąć tak dalece oczyszczenie naszego języka jak zrobili to Czesi, którym udało się nawet obcego *"sierżanta"* zastąpić rodzimym *"sikovatelem."* Nie mniej wyniki tej żmudnej i wielce poważnej pracy były również poważne i przyczyniły się w znacznej mierze do ukucia polskiej terminologii wojskowej. Obecnie wydaje się, że niemal cały ten wysiłek poszedł na marne, i najprostsze pojęcia wojskowe są wielokrotnie wyrażane tam właśnie, gdzie chodzi o ścisłość, terminami najzupełniej nieścisłymi.

Ile to razy czytamy na przykład lub słyszymy zwrot *"Panowie Oficerowie i Żołnierze,"* albo wprost *"Oficerowie i Żołnierze,"* jak gdyby językowo wolno było jednych przeciwstawiać drugim; a przecież w języku polskim "żołnierzem" jest każdy służący w szeregach Polskich Sił Zbrojnych, niezależnie od tego, czy nosi buławę marszałkowską, czy jest zwykłym szeregowcem. I to zgodne z duchem języka polskiego stanowisko zostało przyjęte nie tylko przez owe komisje językowe, czy słownikowe, ale zostało uprawomocnione zarówno przez prawodawstwo, jak też przez obowiązujące nas regulaminy, które dzielą wszystkich *"żołnierzy"* na oficerów, podoficerów i szeregowców.

A sprawa samych tych *"Polskich Sił Zbrojnych,"* czy też *"Wojska."* Jak bardzo często lubimy zastępować zdawna przez język polski ukute słowo *"wojsko"* terminem *"armia"* i to właśnie, kiedy ten drugi termin ma swe określone organizacyjne znaczenie.

Działa tu zapewne wpływ zarówno języka francuskiego z jego terminem ogólnym *"l'Armée Française"* oraz angielskiego z jego *"British Army."* Język polski to wszystko określa terminem *"Wojsko"* i określa nie od dzisiaj, lecz od tak dawna, jak łacińskie *"exertitus"* zostało wyparte przez polskie *"wojsko"* z dojściem polszczyzny do słowa w druku. W języku francuskim i angielskim *"l'Armée* i *"Army"* są przeciwstawieniem — *"La Marine"* i *"Navy,"* tj. *"marynarki."* Tak, jak my posiadamy w języku polskim *"Polskie Siły Zbrojne"* obejmujące całość, tak język angielski ma *"British Forces,"* a włoski *"Forze Armate."*

Polskie Siły Zbrojne dzielą się na Siły Lądowe, Siły Powietrzne i Marynarkę Wojenną. Na pierwsze dwa terminy z całą słusznością i poprawnością językową, używamy również terminu *"wojsko."* Co zaś do Marynarki Wojennej, nie zapominajmy o tym, że była ona niegdyś w wieku XV i XVI *"polską armatą wodną,"* czyli polskimi wodnymi, czy morskimi siłami zbrojnymi, gdyż słowo *"armata"* było skrótem terminu łacińskiego *"vis armata"* czyli dokładnie *"siły zbrojnej."* Dlatego z takim samym uzasadnieniem, z jakim mówimy o Siłach Lądowych i Powietrznych, moglibyśmy używać dla Marynarki Wojennej również terminu *"Siły Morskie."*

Jak widzimy, nie ma tu ubóstwa i pisarz ma dostateczny zasób terminów do ścisłego i giętkiego operowania słowem, nie potrzebując się uciekać do terminu obcego *"armia,"* który w polskim języku wojskowym ma zgoła inne znaczenie.

A teraz *"Siły Powietrzne"* i *"Lotnictwo."* Jak często widzimy tutaj pomieszanie. Musimy pamiętać o tym, że *"Siły Powietrzne"* obejmują całość; zarówno samo *"lotnictwo,"* oparte na samolocie, jak i oddziały balonowe, a w niektórych wojskach również i obronę naziemną.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Marynarki Wojennej. Dla większości ludzi pióra, *"okręt"* i *"statek"* to to samo. Jakże się burzy na to serce polskiego marynarza, dla którego *"okręt"* jest tylko okrętem wojennym, *"statek"* zaś statkiem handlowym. A skoro jesteśmy w tym miejscu, czy nie warto zastanowić się jeszcze nad kilku drobiazgami. Namnożyło się teraz w języku polskim rozmaitych *"destroyer'ów,"* *"submarine'ów,"* a nawet o zgrozo spotykałem *"U-Boaty,"* a przecież ten pierwszy, to jest zwyczajny *"kontrtorpedowiec,"* a tamte—może nie stary jeszcze, ale już dobrze zasłużony w dziejach Polskiej Marynarki Wojennej — *"okręt podwodny."*

Czekam teraz niecierpliwie kiedy angielskie pancerniki zostaną przez naszych pisarzy przechrzczone na *"battle-ship'y"* i zamiast ostrzeliwać nieprzyjaciela, będą go *"shell'owały"* albo po prostu zaczną *"fire'ować."*

Wracajmy do tego, od czegośmy zaczęli. Mówiłem na początku o *"efektywach."* Po co aż tak efektowne obce słowo na zupełnie utarty i całkiem przejrzysty polski termin wojskowy *"stany liczebne."* A skąd się wziął *"ślizgowiec,"* często również *"glider'em"* zwany. Jeśli mu się przyjrzeć uważnie, poznamy w nim bez trudu naszego *"szybowca,"* który szybuje w powietrzu, a nie ślizga się w nim, jak angielski *"glider."*

Tyleśmy się swego czasu namęczyli, żeby angielski *"tank"* zastąpić polskim *"czołgiem."* Zdaje się, że cały wysiłek był na marne. *"Tank"* powrócił do druku w triumfie i ani rusz nie chce się stamtąd wynosić.

Można by mnożyć przykłady w nieskończoność i można całe tomy napisać o kaleczeniu polskiego języka, o nieścisłości terminologii i pomieszaniu pojęć. Nie miejsce na długie traktaty w tygodniku. Pragnęliśmy tylko zabrać głos i dosyć głośno powiedzieć:

"Moi Panowie — dosyć już tego bezceremonialnego hulania po polskim słownictwie wojskowym. Postarajcie się nauczyć języka polskiego i postarajcie się pisząc tutaj przede wszystkim dla nas żołnierzy, pisać językiem dla nas zrozumiałym. Nauczcie się rozróżniać *"dowódcę"* od *"komendanta,"* a ich obu od *"szefa."* I może byłoby pożytecznie dowiedzieć się również, że order wojskowy "Virtuti Militari" V kl. nie jest bynajmniej najwyższym polskim odznaczeniem wojennym."

OTTON LASKOWSKI

Na frontach

UWAGI OGÓLNE

Blitzkrieg japoński na Dalekim Wschodzie na skutek oszałamiających sukcesów jest głównym przedmiotem zainteresowania. Jednak działania wojenne i na innych frontach bynajmniej nie mają charakteru biernego. O ile na Dalekim Wschodzie widzimy wojnę w jej formach szczytowych, o tyle w Rosji i częściowo w Libii obecne działania polegają na usilnym nękaniu przeciwnika, aby utrzymać w swoich rękach inicjatywę.

W każdym razie musimy stwierdzić, że zapewne najbliższe tygodnie zmienią obraz dotychczasowych działań w Rosji i w Libii—i w tym momencie wojna wejdzie już w okres swego maksymalnego nasilenia.

Można przewidywać, że powstanie wówczas i nowy—czwarty front: czy w Norwegii, czy gdziekolwiek indziej na zachodnim brzegu Europy. Otwarcie tego frontu w chwili największego zaangażowania się wojsk niemieckich w Rosji stanie się nakazem strategicznym, a żadne namiastki, jak ofensywa powietrzna na Niemcy, nie będą oczywiście w stanie zastąpić żywej siły i masy pancernej. Ona jedna bowiem może zmaterializować koszmar prześladujący niemiecki sztab generalny—wojnę na dwu frontach . . .

DALEKI WSCHÓD

Upadek Singapore, zaledwie po 7 dniach oblężenia, zakończył pierwszą rundę kampanii na Dalekim Wschodzie. Oddał on w ręce Japończyków ok. 80.000 jeńców i wielkie ilości materiału wojennego, zwalniając jednocześnie wojska japońskie do działań na froncie Burmy oraz dla inwazji na Jawę. W ten sposób, zdobycie Singapore było etapem do dalszej operacji. Krytyczną ocenę kampanii na Malajach i w Indiach Holenderskich dał gen. Cough w tygodniku *"The Truth"* z 6 marca pod tytułem: *"Too late again in Singapore and India"* . . .

Upadek Jawy, również po 7 dniach walk, w wyniku których skapitulowało 98.000 wojsk stanowi zakończenie drugiej rundy w kampanii na Dalekim Wschodzie. Bitwa morska 28 lutego na północ od Jawy, w której marynarka aliancka, z całym poświęceniem usiłowała powstrzymać armadę inwazyjną była pierwszym aktem tego bolesnego dramatu.

Nie wygasły jeszcze ostatnie ogniska oporu na Jawie, gdy już 6 marca silne oddziały japońskie wylądowały w Nowej Gwinei, a lotnictwo japońskie bombardowało Australię Północną. To posunięcie japońskie jest jasnym wyrazem zamiarów najazdu na Australię. Choć ta operacja oddala Japończyków od Indji i współdziałania w wielkim stylu z przyszłą ofensywą niemiecką w Rosji i na Bliskim Wschodzie, tym nie mniej ma ona poważne uzasadnienie strategiczne. Opanowanie Australii /o ile, oczywiście się uda . . ./ pozbawi marynarkę amerykańską odpowiednich baz na Południowym Pacyfiku. Operacja ta nosi więc w dużym stopniu charakter operacji zapobiegawczej. Można dodać, że kampania niemiecka w Rosji również miała z punktu widzenia dalszych planów niemieckich charakter — zapobiegawczy.

Jednocześnie napór Japończyków na froncie Burmy wzrasta z każdym dniem. Od niedawna mają oni już i przewagę w powietrzu, która były monopolem Anglików i ochotników amerykańskich. Opanowanie Rangoonu przez Japończyków zwiększa poważnie zagrożenie Indji Wchodnich. Wedle ich zapowiedzi, mają oni już w połowie kwietnia być w Kalkucie. Inna rzecz, że jak wskazuje przykład Hitlera, stawianie terminów w czasie wojny, może być czasami zawodne . . .

W każdym razie opanowanie Rangoonu, co oznacza jednocześnie zamknięcie dowozu materiału wojennego dla Chin, zwiększa zagrożenie szlaków wodnych na Oceanie Indyjskim. Zagrożenie to zwiększa się, na razie potencjalnie, przez żywe zainteresowanie Japończyków wyspą Madagaskar, w której opanowaniu będą oni zapewne mogli liczyć na pomoc Vichy. O ile więc Madagaskar nie zostanie uchwycony tym razem przez Sprzymierzonych przed próbą Japończyków—żadne późniejsze protesty dyplomatyczne nie uchronią go od tego, aby się stał japońską bazą morską. Należy przypomnieć, że na jesieni 1940 była podjęta próba opanowania Madagaskaru przez marynarkę brytyjską, ale ze względu na zbyt słabe siły zakończyła się niepowodzeniem . . .

Wydarzenia na Madagaskarze, z którymi należy liczyć się jak najpoważniej w najbliższej przyszłości mogą zagrozić komunikacji z Zatoką Perską i tym samym zagrozić dostawom dla Rosji. Mogą mieć też poważne oddźwięki w Europie, bo doprowadzić do otwartego konfliktu pomiędzy Vichy a W. Brytanią i Ameryką. Konflikt ten odpowiadać może jedynie planom Hitlera, gdyż wzmacnia on wówczas flotę niemiecką o jednostki floty francuskiej na Atlantyku i Morzu Śródziemnym.

Na ciemnym tle niepowodzeń na Dalekim Wschodzie tym większym blaskiem świeci bohaterstwo generała Mac Arthura i wojsk amerykańskich i filipińskich. Stał on się już bohaterem narodowym Stanów Zjednoczonych i opinia amerykańska domaga się sprowadzenia go do Stanów Zjednoczonych i postawienia na czele sił zbrojnych Ameryki.

FRONT SOWIECKI

Sytuacja na froncie sowieckim w ciągu ostatniego miesiąca pozornie nie uległa większej zmianie. W ukształtowaniu linii frontu niemieckiego, wkopanego mocno w zmarzłą, niegościnną ziemię nie nastąpiły znaczniejsze odchylenia —a jednak co raz bardziej intensywne i bardziej gwałtowne i miejscami głębokie przenikanie wojsk sowieckich w przerwy pomiędzy poszczególnymi "umocnionymi punktami" posiada większe znaczenie, niż by się mogło wydawać. Nieustanna czynność sowiecka na całym froncie od Leningradu aż do Morza Czarnego, powoduje co raz większe znużenie wojsk niemieckich, a przede wszystkim zużywanie się rezerw.

Wprawdzie nigdzie na całym froncie, z wyjątkiem być może rejonu Staraja Russa, Rosjanie nie mogą poszczycić się efektownymi sukcesami w formie otoczenia i zniszczenia większych jednostek niemieckich, tym nie mniej nękający proces infiltracji sowieckiej odbija się w końcu na duchu i potencjale bojowym *Reichswehry.* Ale jest faktem, że prawie nigdzie oddziały niemieckie nie zostały zepchnięte z ważniejszych punktów, które jak np: Charków i Tanganrog oraz Krym będą zapewne podstawą wyjściową do szumnie zapowiadanej i skrupulatnie przygotowywanej niemieckiej ofensywy wiosennej. Jednakże ta kampania zimowa nie pozostanie bez śladu na wartości armii niemieckiej na wiosnę . . .

Sądząc z dotychczasowego przebiegu działań na froncie sowieckim, w ciągu najbliższego czasu zapewne nie można będzie oczekiwać już poważniejszych sukcesów sowieckich. Być może, iż tylko dość prawdopodobna likwidacja otoczonej w rejonie Staraja Russa 16 armii gen. Buscha może poważnie zagrozić sytuacji wojsk v. Leeba, oblegającego Leningrad lub też umożliwić wreszcie zamknięcie worka w rejonie Smoleńska, dając w ten sposób dowództwu sowieckiemu efektowny sukces. Natomiast na froncie południowym napór sowiecki zarówno w kierunku Charkowa, jak i Taganroga został powstrzymany przez armie v. Bocka.

Należało by bezstronnie stwierdzić, że działania ofensywne w wielkim stylu są obecnie dla obu stron zupełnie wykluczone, taktyka zaś przenikania (infiltracji), którą stosują też z powodzeniem Japończycy, nie może w obliczu twardego oporu niemieckiego spowodować cofnięcia się całego frontu . . . Wobec tego wolno oczekiwać, że zapowiadana ofensywa niemiecka, wystartuje prawdopodobnie ze stanowisk obecnie zajmowanych przez wojska niemieckie oraz ich licznych sprzymierzeńców.

Powodzenie lub niepowodzenie tej ofensywy będzie w znacznym stopniu zależało od angielskiej i amerykańskiej pomocy dla Rosji. Dostawa zaś tej pomocy będzie z kolei uzależniona od rozwoju sytuacji na Oceanie Indyjskim. Ta sprawa wskazuje wyraźnie współzależność strategii w planie światowym i prawa mechanizmu wojny, które wchodzą w grę.

Można zauważyć, że na przebieg przyszłej ofensywy niemieckiej będzie mieć też wpływ otwarcie przez Sprzymierzonych nowego frontu w Europie. W związku z prawdopodobieństwem powstania nowego frontu wydaje się, że koncentracja marynarki niemieckiej w Trondheim ma na celu nie tylko ewentualne zagrożenie dróg dostaw do Rosji — ale także przeciwstawienie się próbie inwazji Norwegii przez Sprzymierzonych.

FRONT LIBIJSKI

Front w Libii, który przez dwa i pół miesiąca był widownią klasycznego *Blitzkriegu,* zamarł od połowy lutego. Wojska niemiecko-włoskie zatrzymały się na zachód od Gazali, a działania wojenne ograniczają się przeważnie do działań patroli oraz do walk w powietrzu, w których lotnictwo brytyjskie odnosi sukces za sukcesem.

Jak można wnioskować z przebiegu działań, obie strony przygotowują się starannie do wznowienia działań zaczepnych, wykorzystując jednocześnie doświadczenia taktyczne oraz doświadczenia dotyczące sprzętu. Pozostaje sprawą otwartą, kto pierwszy zechce uchwycić w swoje ręce inicjatywę—generał Ritchie, czy też Rommel, który ma rzekomo być w najbliższym czasie zamianowany marszałkiem i dowódcą połączonych sił "Osi" w basenie Morza Śródziemnego. Wedle tych wiadomości dowódca *Luftwaffe* w Sycylii, marszałek Kesselring, ma być podporządkowany rozkazom Rommla. Fakt ten może być argumentem dla tych, którzy na terenie Parlamentu lub prasy brytyjskiej domagają się podporządkowania lotnictwa pod rozkazy dowódców lądowych.

Dowód przygotowywania obu stron do przyszłych działań wojennych mogą stanowić sukcesy floty brytyjskiej na Morzu Śródziemnym, która zatopiła ostatnio kilka okrętów płynących z Sycylii do Afryki. Niestety, część tych transportów zawsze zdoła dotrzeć do portów przeznaczenia, wzmacniając *Afrika Armee.* Świadczy to, że przyszłe działania w Libii będą, być może, na większą skalę, niż dotąd a przebieg ich może mieć duży związek operacyjny z działaniami w Europie i na Dalekim Wschodzie.

EUGIENIUSZ HINTERHOFF

Czy Niemcy użyją gazów bojowych?

I.

W znamiennym przemówieniu wygłoszonym do narodu angielskiego w marcu ub.r. Premier Churchill wypowiedział ostrzeżenie, że nazistowskie Niemcy, w próbach zaatakowania i inwazji wysp wielkobrytyjskich nie cofną się przed zastosowaniem najokrutniejszych narzędzi wojny nowoczesnej, a więc i przed zastosowaniem chemicznych środków bojowych, które popularnie zwiemy "gazami bojowymi."

To też, nie od rzeczy będzie, zastanowić się w jaki to sposób Niemcy mogliby zaatakować W. Brytanię przy pomocy gazów bojowych. Rozważania te snuć można na podstawie doświadczeń wojny poprzedniej, doświadczeń poczynionych w dziedzinie techniki wojny chemicznej po wojnie światowej i wiadomości, jakie posiadamy o przygotowaniach czynionych w tym kierunku przez III-ą Rzeszę. Nie można tu naturalnie snuć fantastycznych pomysłów, jednak ostatnie doświadczenia techniczne w dziedzinie wojny gazowej, pozwalają przypuszczać, że może być ona rozpętana. Oparta bowiem o dawne i wypróbowane sposoby napadu gazowego z lat 1915-1918, a uzupełniona nowoczesnymi środkami, sprzętem i metodami, walka chemiczna ma szanse pewnego powodzenia.

Dlaczego Niemcy mogą użyć gazów bojowych w momencie próby inwazji? Na pytanie to da się odpowiedzieć w sposób następujący. Gazy bojowe, tylko w pierwszej fazie użycia ich w r.1915, jako broń zupełnie nowa, zaskoczyły aliantów i, jak wykazują statystyki, nie były one tak

rys. 1



SC.-SAMOCHÓD. C.-CYSTERNA Z GAZEM BOJ. CIEKŁYM /IPERYT/ RR:-RURA ROZPRYSKUJĄCA RY.-ROZPRYSKANA CIECZ GAZU BOJOWEGO T.-TEREN.

mordercze jak inne środki walki np. ogniowe, jednak są nadal do dziś dnia typowym środkiem zaskoczenia moralnego; zaskoczenia w walce, i to zarówno w czasie, w miejscu, jak również w sposobie zastosowania i jakości. Bo chociaż spodziewamy się ich użycia i przygotowujemy bardzo starannie, nikt jednak nie wie, i wiedzieć nie będzie, w jakim momencie próby inwazji, zostaną one użyte, w jakim miejscu czy miejscach, w jaki sposób, no i wreszcie, jakie one będą? Czy będą to te same gazy bojowe, jakie były stosowane w czasie wojny światowej, czy jakieś zupełnie nowe, o specjalnym działaniu środki chemiczne?

A nawet poźniej, np.w ciągu trwania walk i zmagań inwazyjnych, gdy ogół społeczeństwa i armia walcząca zetkną się z działaniem gazów i, że tak powiem, "przyzwyczają się i oswoją" z nimi, to zawsze pozostaną one potężnym czynnikiem zaskoczenia, bo zawsze nie będzie wiadomo, kiedy, w którym miejscu, w jaki sposób i jakie gazy zostaną nadal użyte.

Ten czynnik niewiadomej jest najważniejszym elementem zaskakiwania w wojnie chemicznej.

Drugi powód, dla którego Niemcy mogliby użyć gazów bojowych, to ten, że wyczerpawszy wszelkie sposoby zwalczenia Imperium Brytyjskiego, i w rezultacie osiągnąwszy tylko, lokalne, Pyrrhusowe powodzenia, niezdolni pokonać tak wspaniałego moral armii i społeczeństwa W. Brytanii, wszystkimi dotąd stosowanymi sposobami barbarzyńskiej wojny, będą się starali uczynić to przy pomocy gazów bojowych, działających specjalnie na psychikę napadniętego.

Po trzecie, jak wiadomo, już przed wojną 1914-18, Niemcy posiadały największy na świecie masowy przemysł chemiczny. Jest on podstawą produkcji gazów bojowych. Powojenne przygotowania Niemców do rewanżu, a zwłaszcza w okresie ostatnich lat pięciu, tak przemysł ten rozbudowały i zreorganizowały, że każde, nawet najdrobniejsze, przedsiębiorstwo jest przygotowane do produkcji wojennej, a między innymi do produkcji chemicznych środków bojowych. A przecież to w roku 1937 ukazała się znamienna książka niemiecka pod tytułem: "*Jak każda gospodyni niemiecka może przygotowywać w swej kuchni materiały do produkcji gazów bojowych,*" Widzimy więc, że przy takim nastawieniu wytwórczości tego środka walki, będzie on dla Niemców łatwo dostępny, tani, a nawet bardzo korzystny do zastosowania.

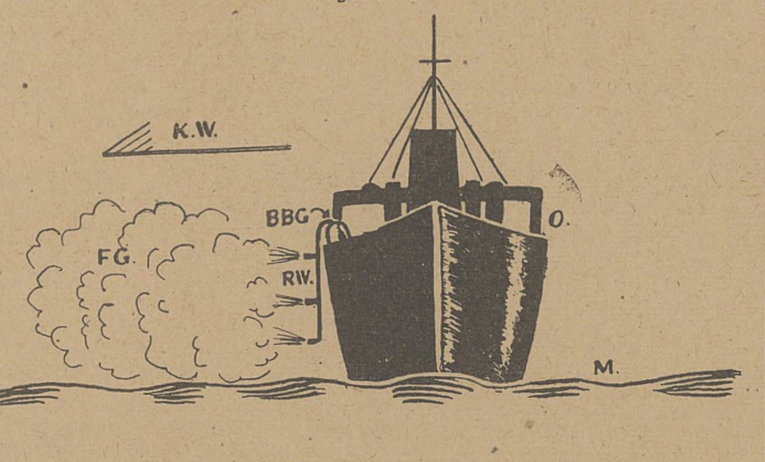
A teraz zastanówmy się, *nie nad tym,* jakie to nowe gazy nieprzyjaciel wyprodukował i użyje, bo to nie jest aż tak istotne (dlaczego?—omówię poźniej), ale w jaki sposób przy próbach inwazji gazów tych może użyć. Tu wypada przypomnieć, że gazy bojowe użyte być mogą w walce jako: ciała lotne, ciała stałe i ciecze.

Dawne sposoby (z lat 1915-18) napadu gazowego są następujące: napad falowy przez wypuszczenie z butli lotnego gazu i przeniesienie go jako fali gazowej z wiatrem, poprzez przedpola pozycji, do okopów wroga. Następnie atak przy pomocy pocisków artyleryjskich, gdzie teren stanowisk ostrzeliwano pociskami gazowymi, zawierającymi gazy bojowe w stanie lotnym, ciekłym lub stałym. Trzeci wreszcie sposób stanowi atak przy pomocy miotaczy bomb. W tym wypadku bomby te, jak gazowe pociski artyleryjskie, wypełniane były bojowymi środkami chemicznymi. Czwarty rodzaj ataku gazowego prowadzonego przez Niemców sporadycznie na głębokich tyłach wojsk alianckich w latach 1917-1918—to atak dywersyjno-szpiegowski. Był on uprawiany przez specjalnych wysłanników oddziału II-ego Sztabu Rzeszy. Znane są bowiem pojedyńcze wypadki z ostatniego okresu wojny europejskiej, że w samym centrum, w samym sercu wojsk alianckich, bo w Sztabie Gł. w Paryżu, zdarzyły się fakty skażenia iperytem oficerów i innych pracowników Sztabu. Po przeprowadzonych dochodzeniach, okazało się, że to agenci niemieccy, którzy potrafili dostać się do tak wysokich dowództw, nocami rozsmarowywali przy pomocy pędzelków iperyt na klamkach drzwi, biurkach i krzesłach.

Powojenne sposoby ataków gazowych są tylko pewną odmianą i dalszym rozwinięciem wyliczonych poprzednio. Będą to mianowicie: — bombardowanie przy pomocy lotniczych bomb gazowych (podobne zresztą do wielkokalibrowego ognia artyleryjskiego), skrapianie terenu (opryskiwanie i opylanie) przez samoloty zaopatrzone w t. zw. rozpryskiwacze i rozpylacze gazów bojowych. Ponadto, skrapianie terenu przy pomocy samochodów i czołgów—"cystern" wypełnionych cieczami gazów bojowych. (Rys 1 i 2.) Ten sposób ataku upodobniony być może w swym efekcie, do masowego skropienia terenu przy pomocy pocisków artyleryjskich np. iperytowych. Wymienić jeszcze wypada, że samoloty stosować mogą t. zw. ampułki z gazami bojowymi parzącymi, oraz że ulepszone miotacze bomb gazowych, używane być mogą dziś wprost z półpancernych samochodów, na których są umieszczone.

Który więc z tych rodzajów ataku gazowego może być

rys. 3



O=OKRĘT. BBG=BATERJE BUTLI GAZOWYCH. RW=RURY WYPUSTOWE GAZU. FG=TWORZĄCA SIĘ FALA GAZOWA KW=KIERUNEK WIATRU. M=POWIERZCHNIA MORZA

zastosowany? Czy będą one zastosowane jako pojedyńcze działania, czy też wspólnie, połączone razem?

Na to trudno odpowiedzieć z całą pewnością. Wydaje się jednak, że każdy ze znanych rodzajów ataku gazowego, może być z mniejszym lub większym powodzeniem użyty przez Niemców, bądź jako samodzielny sposób walki chemicznej, bądź też w połączeniu z innymi. Najbardziej prawdopodobne jednak wydaje się to ostatnie przypuszczenie. A to dlatego, że chcąc wywołać pewny efekt, nieprzyjaciel będzie się starał użyć chemicznych środków napadu masowo, skoncentrować wysiłek na jednym lub kilku odcinkach inwazji, w takiej mierze, stopniu i takimi sposobami, by osiągnąć cel zamierzony.

Postarajmy się więc rozważyć w jaki sposób nieprzyjaciel może użyć gazów bojowych przy próbach inwazji.

Zacznijmy przede wszystkim od ataku falowego. Czy może być on zastosowany w inwazji? Zdawało by się na pozór, że ten typowy dla walk pozycyjnych sposób napadu, właśnie przy wręcz odmiennym sposobie walki, bo walki ruchomej jaką jest inwazja , nie da się zastosować. Poza tym czyż będzie możliwe użycie gazów, o których wiedzieliśmy dotąd, że łączą się często i chętnie z wodą. A tu właśnie wypadało by ich użyć właśnie w bezpośredniej bliskości olbrzymich obszarów wodnych—bo w bezpośredniej bliskości morza?

Na to pytanie odpowiedzieć można, iż najnowsze badania wykazały, że fala gazowa, o ile wytworzona została przez gaz o stosunkowo małej wrażliwości na wodę, może się nad wodą utrzymać przez czas dłuższy i ze skutkiem zakażać powietrze. Dlatego też, sądząc z wiadomości, jakie o przygotowaniach do wojny chemicznej nadchodzą z Niemiec, wydaje się zupełnie możliwe wykonanie ataku gazowego—falowego przy pomocy gazów lotnych, np. z morza. Tutaj przypuszczać należy, że nieprzyjaciel atak ten wykonać może, z odpowiednio zaopatrzonych i na odpowiednią odległość do wybrzeża podprowadzonych statków handlowych. (Rys. 3.)

W dalszym ciągu, jeśli chodzi o ataki falowe, to jak wskazywały na to przygotowania przedwojenne państw "osi," zarzucono w taktyce zasadę, że napad falowy przeprowadzony być może tylko w działaniach obronnych lub w wojnie pozycyjnej. Zarówno niemieckie jak i włoskie specjalne zmotoryzowane oddziały "wojsk chemicznych," zaopatrzone są w półpancerne szybkobieżne wozy terenowe, na których ustawione są baterie butli z gazem bojowym. (Rys. 4.) Widać z tego, że nawet w wojnie ruchowej, ewentualnie w akcji inwazyjnej oddziały takie, działając bardzo szybko, mogą podjechać na pożądany odcinek i, nie zdejmując zupełnie butli z wozów—wykonać zamierzony atak falowy.

Przechodząc z kolei do omówienia ataku artyleryjskiego przy użyciu pocisków gazowych, to ataki takie przeprowadzone być mogą, zarówno przy rozpoczęciu działań inwazyjnych, a to przy pomocy ognia pociskami gazowymi, prowadzonego z dział okrętowych, jak również, w wypadku udanych sporadycznych posunięć inwazyjnych, już na wybrzeżu przy pomocy ognia artylerii naziemnej. Co do ataków przy pomocy specjalnych miotaczy bomb (moździerzy), to będzie on możliwy tylko w wypadku udanych działań inwazyjnych—z lądu.

Następnym najbardziej prawdopodobnym rodzajem ataku gazowego, w razie działań inwazyjnych będzie atak lotniczo-gazowy dokonany przy pomocy bomb chemicznych, rozpryskiwaczy, rozpylaczy i ampułek gazowych.

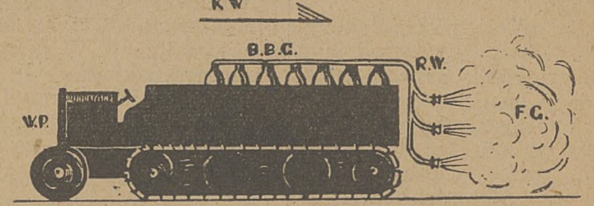
Co do bomb gazowych, to w zależności od rodzaju gazu, jakim są wypełnione, po wybuchu dają one w rezultacie: obłok gazowy, względnie plamę chemiczną. Obłok powstaje w powietrzu, gdy wybuchnie bomba wypełniona gazem lotnym np. duszącym, trującym, wzgl. drażniącym. Plama chemiczna tworzy się na terenie (na ziemi, na ścianie domu, na zaroślach itp), gdy nastąpi rozerwanie bomby, wypełnionej bojowym gazem płynnym (ewent, stałym) trudnolotnym, typu gazu żrąco-parzącego (iperyt), lub drażniącego (kamit, sternit). O ile nieprzyjaciel obrzuci pewien odcinek terenu większą ilością bomb dających obłoki gazowe, może się wówczas z nich utworzyć fala gazowa; o ile będą to bomby plamowe — utworzona zostanie przez poszczególne plamy wielka przestrzeń skażona, zwana polem skażenia.

Bomby gazowe posiadać mogą wagi od 25 kg. do 3000 kg. Bomby chemiczne o wagach małych i średnich, a więc od 25 kg. do 150 kg. ładowane są gazami trwałymi-trudnolotnymi (bomby plamowe), wagi większej gazami lotnymi (bomby obłokowe).

Jeżeli chodzi o użycie bomb gazowych przez lotnictwo, to również i w tym wypadku zawsze będzie należało wziąć pod uwagę warunki atmosferyczne, panujące na terenie zamierzonego ataku. Zawsze bowiem mają one decydujący wpływ na powodzenie ataku gazowego.

Oddziały wojskowe walczące w pierwszej linii nie będą prawdopodobnie narażone na atak przy pomocy bomb z gazami lotnymi, a to dlatego, że użycie bomb na dużych otwartych terenach, ze względu na ich przewiewność nie jest wskazane. Co innego w miastach, poprzecinanych siecią nieprzewiewnych ulic. Tu użycie bomb z gazami lotnymi będzie nie tylko możliwe, ale nawet bardzo wskazane z punktu widzenia napadu. Obłoki gazowe utworzone

rys. 4



W.P.=WÓZ PÓŁPANCERNY B.B.G.=BATERJA BUTLI GAZ. R.W.=RURY WYPUST. K.W.-KIERUNEK WIATRU F.G.-TWORZĄCA SIĘ FALA GAZOWA.

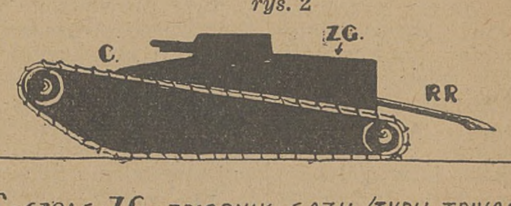
po wybuchu bomb będą się w tych warunkach utrzymywać bardzo długo, skażając powietrze.

Jeśli chodzi o bomby wypełnione gazami trwałymi (plamowe), to mogą one być użyte z powodzeniem narówno w polu, jak i na tyłach, wewnątrz kraju, w stosunku do wszystkich bombardowanych celów. Dla przykładu podaję następujące dane dotyczące wielkości obłoków i plam chemicznych:

Pocisk gazowy fosgenowy (gaz lotny) 75 mm.	Bomba gazowa fosgenowa. Wagi: 250 kg.
Waga gazu boj. zawartego w pocisku ok. 600 gr.	Waga gazu boj. zawartego w bombie ok. 150 kg.
W jedną sekundę po wybuchu tworzy się obłok o objętości ok. 20 m.3	W kilka sekund po wybuchu tworzy się obłok o objętości ok. 100.000 m.3
Pocisk gazowy iperytowy (gaz trwały) 75 mm.	Bomba gazowa iperytowa (gaz trwały) 25 kg.
Waga gazu boj. zawartego w pocisku ok. 600 gr.	Waga gazu boj. zawartego w bombie ok. 15 kg.
Po wybuchu tworzy się na ziemi plama chemiczna o powierzchni ok. 20 m.2	Po wybuchu tworzy się na ziemi plama chemiczna o powierzchni od 1000 do 1500m.2

ANTIGASUS

rys. 2



C=CZOŁG. ZG=ZBIORNIK GAZU /TYPU TRWAŁEGO-CIEKŁEGO/. RR=RURA ROZPRYSKUJĄCA.

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 21.II.—10.III.1942.

Lotnictwo myśliwskie

Polskie dywizjony myśliwskie wykonywały w tym okresie zadania patrolowania nad Kanałem i rozpoznania żeglugi nieprzyjacielskiej koło północnego wybrzeża Francji.

Polskie dywizjony myśliwskie wzięły również udział w osłonie wyprawy bombowej na Ostendę w dniu 28.II. b.r.

Podczas wszystkich tych zadań bojowych nie doszło do poważniejszych walk z nieprzyjacielskim lotnictwem myśliwskim.

Lotnictwo bombowe

Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
7	130

Główne cele: Kilonia, Wilhelmshaven, Essen /trzykrotnie/.

Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.III.1942.

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:	Łączna ilość samolotów:
pewnych — 421	1955

Indie w granicach Imperium



Lord Curzon, najbardziej może reprezentacyjny mąż stanu Wielkiej Brytanii z okresu wiktoriańskiego tak wyraził się o Indiach w jednym ze swoich dzieł:

" Przyszłość Wielkiej Brytanii i Imperium Brytyjskiego . . . rozstrzygnie się nie w Europie, nawet nie na morzach i oceanach świata, gdzie panuje jej sztandar . . . lecz na wielkim kontynencie. . . . Bez Indii nie ma Imperium Brytyjskiego."

Czas i bomby niemieckie skorygowały te słowa wypowiedziane przed pół wiekiem, przynajmniej w części dotyczącej istnienia Wiel. Brytanii i przyszłych jej losów. Nie można jednak nic dodać ani ująć tam, gdzie Curzon mówi o Indiach jako o kamieniu węgielnym Imperium Brytyjskiego w tej jego formie, jaką znamy i której bronimy obok naszych własnych celów wojennych.

Aż do chwili dramatycznego zajęcia Nadrenii w 1936-tym roku przez nowe Niemcy i pojawienia się namacalnej groźby w samym sercu Europy Indie i wszelkie sprawy z nimi związane były najbardziej palącym, złożonym, żywotnym i niebezpiecznym zagadnieniem dla wszystkich bez wyjątku rządów brytyjskich.

W 1935-tym i 1936-tym roku, kiedy w parlamencie Westminsterskim uchwalano nową konstytucję dla Indji nawet stosunkowo drobne szczegóły tego zagadnienia podniecały całą prasę i opinię publiczną w Londynie. Tysiące studentów hinduskich studiujących na uniwersytetach brytyjskich nadawało sprawie indyjskiej piętno palącej aktualności. Nie należy też zapominać, iż w okresie pomiędzy uspokojeniem się Europy po pierwszej wojnie światowej, tak gdzieś około 1923-go roku a "*Machtuebernahme*" przez Hitlera pewien adwokat hinduski Mohandas Karamchand Gandhi cieszył się światową sławą. W odległej od indyjskich zagadnień Warszawie jeszcze w 1935-tym roku odczyt p.t. "Gandhi, nowe światło nad Gangesem" wygłaszano przy wypchanej sali.

Zagadnienie Indji upraszczane najczęściej do konfliktu anglo-hinduskiego, pełne pozornych sprzeczności i rzeczywistych trudności jest całkowicie niezrozumiałe bez szerokiego uwzględnienia przesłanek historycznych, gospodarczych i społecznych, które doprowadziły do jego powstania. W najogólniejszym zarysie przedstawiają się one następująco.

W wieku XVI-ym Mahometanie pochodzenia mongolskiego podbili pod-kontynent indyjski — nie można bowiem Indji, przyległych krajów i wysp uważać za "półwysep,"—i założyli tam potężne państwo, cesarstwo Wielkich Mogułów; taki tytuł nosili cesarze, wywodzący się wprost od Baber Sułtana, założyciela dynastii. Wielcy Mogułowie, ich dworzanie i generałowie nie zniszczyli miejscowej organizacji państw i państewek, opartych na tysiącletniej cywilizacji. W chwili podboju mahometańskiego Indie były starą, zróżniczkowaną i wyrafinowaną cywilizacją, sięgającą III-go tysiąclecia przed naszą erą.

Nowi władcy zachowali miejscowych książąt, ponadawali znaczne obszary dygnitarzom swojego dworu i ze stolicy Dehli rządzili raczej jako nadrzędni monarchowie a nie jako bezpośredni władcy. Zakres ich potęgi wahał się w zależności od zalet osobistych i układu stosunków, jednakże kurczył się stale. Pod koniec wieku XVIII-go nie tylko mocarstwo Wielkich Mogułów, ale i całe społeczeństwo indyjskie znajdowało się w stanie rozkładu. Zjawisko to, niedokładnie zbadane do chwili obecnej nie ograniczało się do Indji, gangrena społeczna i ustrojowa opanowała wówczas cały cywilizowany świat muzułmański. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem było początkiem tego okresu.

Na terytorium Indji, przede wszystkim dookoła Kalkutty, Madrasu i Bombaju działała wówczas organizacja handlowa, Kompania Wschodnio-Indyjska */East India Co./*, założona w roku 1600 przez kupców londyńskich na zasadzie przywileju królowej Elżbiety. W pierwszym okresie Kompania utrzymywała na obszarze Indji wyłącznie agentów skupujących egzotyczne towary i korzenie, które raz do roku wysyłali do Londynu w wielkich konwojach.

Przywilej handlu Kompania opłacała wielkimi daninami na rzecz Wielkiego Moguła, wzamian za co otrzymywała co roku t. zw. "*firman*"—oficjalny list władcy, zezwalający na paranie się handlem. Poza tym agenci Kompanii musieli płacić grube kubany chmarze większych i mniejszych urzędników. Wzamian za to nie otrzymywano uroczystych pergaminów, ale rzecz znacznie cenniejszą: faktyczną możność handlu. Dochody z handlu wchodniego były olbrzymie, bo na rynkach europejskich indyjskie szale, perfumy i korzenie osiągały zawrotne ceny. Kompania odpowiednio rosła w znaczenie.

W miarę rozpadania się społeczeństwa indyjskiego przed jej zarządem w Londynie stanęły dwie możliwości: albo zaprzestania dalszego handlu, w politycznym chaosie bowiem trudno było o pokojowe życie gospodarcze, albo też stworzenia na własną rękę i we własnym zakresie warunków, któreby umożliwiały dalsze nieprawdopodobne zyski akcjonariuszów w Europie.

Bodaj ten ostatni moment przeważył. Kompania w przeciągu kilku dziesiątków lat, po zgnieceniu francuskiej konkurencji, w połowie XVIII wieku stała się państwem z własnego prawa na terytorium Indji — wasalem Wielkich Mogułów.

Obawy jednak i wątpliwości kupieckie pozostały. Instrukcje od zarządu Kompanii do generalnych gubernatorów w Kalkucie nieodmiennie zawierały najsurowsze zalecenia, aby nie rozszerzać sfery bezpośredniej władzy, unikano jak ognia rządów bez pomocy miejscowych parawanów. Mimo to terytoria Kompanii siłą faktu rozszerzały się. W pierwszym okresie, szczególnie jeżeli chodzi o opanowanie Bengalu przez Lorda Clive i bitwę pod Plassey w r. 1757 sprawiedliwość, bardzo zresztą względna, była po stronie okrutnego miejscowego władcy Mir Jafara a siła po stronie angielskiej. Coraz znaczniejsze jednak powiększania terytoriów nieuchronnie pociągały za sobą konflikty pomiędzy Londynem pragnącym za wszelką cenę spokoju i dochodów a generalnymi gubernatorami, którzy w opanowaniu okolicznych państewek widzieli nie tylko możliwość usunięcia jeszcze jednego gniazda zamętu i rozbójników, ale i rację stanu coraz większych posiadłości kompanijnych czy raczej brytyjskich.

Wojny napoleońskie Wielka Brytania finansowała w znacznej części z dochodów indyjskich. Po Waterloo i u początku Rewolucji Przemysłowej Kompanię rząd wziął pod większą kuratelę. Przedstawiciele Jego Królewskiej Mości posiadali odtąd głos na zebraniach dyrektoriatu Kompanii.

Ekspansja brytyjska na wschodzie w XIX wieku brała Indie jako podstawę. Wyprawy przeciwko Singapore i na zdobycie Ceylonu, wojny z Chinami, Afganistanem, Nepalem i w Persji były prowadzone w znacznym stopniu za pieniądze pochodzące z Indji i przy użyciu indyjskich żołnierzy. Oczywiście zarówno Wielki Moguł, jak i mniejsi władcy czy konfederacje lokalne jak Tippu Sahib i plemienne wojenne zakony Sikhów i Mahratta nie mogły przeciwstawić się Anglikom. Stan ten trwał przez całą pierwszą połowę XIX-ego wieku.

W maju 1857 roku, w jednym z indyjskich pułków piechoty na żołdzie Kompanii wybuchł bunt. Żołnierze, podburzeni wiadomością, iż pociski, które im wydano są przesycone krowim tłuszczem, czyli świętokradcze w oczach ludzi odnoszących się do krów z czcią religijną, wymordowali białych oficerów i ruszyli na najbliższy garnizon. Rebelia wybuchła z niezmierną gwałtownością. Jak się potem okazało była ona przygotowywana od dłuższego czasu za wiedzą ostatniego Wielkiego Moguła.

W pewnej chwili wydawało się, iż rebelianci zniszczą panowanie angielskie. Fakt jednak, iż brakowało im utalentowanego przywódcy i że nie zdołali pociągnąć za sobą większości zbrojnej i jako tako świadomej części ludności Indji spowodował ich zagładę. Rząd brytyjski wziął się do pacyfikacji i po kilku miesiącach uciążliwych walk, kosztem 40 milionów funtów i przy czynnym współudziale wielu książąt hinduskich bunt został stłumiony.

W następnym roku Kompania Wchodnio-Indyjska rozwiązała się wzamian za odszkodowanie w wysokości 37 milionów funtów a jej dobra stały się własnością Korony Brytyjskiej. W roku 1877-ym królowa Wiktoria przyjęła tytuł Cesarzowej Indji.

Od drugiej połowy ubiegłego stulecia Indie dzieliły się na dwie zasadnicze części; t. zw. Indie Brytyjskie rozbite na kilkanaście prowincji, w których władza za pośrednictwem prowincjonalnych gubernatorów i wicekróla jest sprawowana przez parlament Westminsterski i państwa indyjskie w mniejszym lub większym stopniu niepodległe wewnętrznie, podległe jako wasale Koronie Brytyjskiej i jej reprezentantowi wicekrólowi i generalnemu gubernatorowi.

Obszar ich różni się bardzo jak i ludność. Wśród państw (indyjskich przeszło 600 w chwili obecnej!) można znaleść wszelkie organizmy państwowe poczynając od Hyderabadu 14 milionowego państwa, całkowicie niepodległego poza polityką zagraniczną i pewnymi zagadnieniami gospodarczymi, a kończąc na mikroskopijnych państewkach u podnóży Himalajów czy w Dekkanie, podobnych do polskich ordynacji.

Rząd nad całością spoczywał i spoczywa w dalszym ciągu w rękach wicekróla i generalnego gubernatora. Jest to urzędnik Korony Brytyjskiej odpowiedzialny przed sekretarzem stanu dla Indji, który jest członkiem rządu brytyjskiego w randze ministra.

System rządu indyjskiego, niezgrabny i na pozór nieruchawy, po zakończeniu rebelii zwanej Wielkim Buntem stanął wobec olbrzymiego zadania. Trzystukilkudziesięciomilionowa masa ludności Indji była nie tylko pozbawiona jakichkolwiek udogodnień nowoczesnych, w znacznym stopniu była ona także zacofana w najwyższym stopniu, wydana na pastwę lichwiarzy, głodna, zabiedzona i schorowana. Morderstwa rytualne pod kołami świętych wozów, palenie wdów, kult bogini śmierci Kali i małżeństwa dzieci zakorzenione od tysięcy lat były jej udziałem. W gorącym i niepewnym klimacie wybuchały epidemie i klęski głodu i powodzi. Trzęsienia ziemi pozbawiały dachu nad głową. Nie było dróg, ani kolei, ani spławnych rzek, ani kanalizacji.

Dziś milionowa masa bezrobotnej inteligencji hinduskiej, w znacznej mierze wywodzącej się z Bengalu, potępia w czambuł dzieło Wielkiej Brytanii twierdząc, iż za wszystkie zdobycze i nowoczesne drogi Indie zapłaciły ciężkim groszem, a materiały włókiennicze z Lancashire wyparły miejscowe towary tekstylne, żeby tylko wymienić najczęściej spotykany zarzut.

Niedawno hinduski pisarz polityczny o sympatiach komunistycznych K. S. Shelvankar w "*The Problem of India*" /Zagadnienie Indji/ podał statystkę szpitali, szkół, przytułków i t.d. i porównał je z ilością podobnych instytucji w Stanach Zjednocznych i krajach europejskich wyciągając z mniejszych cyfr indyjskich wniosek, iż Wielka Brytania wszystkie udogodnienia te—bardzo niewielkie zdaniem autora—poczyniła wyłącznie dla tym lepszego wyzyskania kraju. Indyjski laureat Nobla Rabindranath Tagore nazwał *Pax Britannica* w Indiach "spokojem grobu".

Tymczasem prawda jest inna.

CZESŁAW JEŚMAN

MacArthur Filipiński



Amerykański bohater wojny na Dalekim Wschodzie—gen. Douglas Mac Arthur

Dotąd chyba tylko Aleksander Macedoński nie zawiódł w starszym wieku nadziei żywionych co do jego talentów wojennych z czasów dzieciństwa. W pewnym stopniu odnosi się to również do Karola XII. i Napoleona. Byli to jednakże ludzie niezwykli nie tylko w dziedzinie wojskowej i trudno przykładać do nich zwykłą miarę.

Jeżeli jednak chodzi o wojska stałe na całym świecie, to jest niezwykle rzadki wypadek, by syn wybitnego generała, od młodości z mocy własnych osiągnięć, a nie ojcowskiego stopnia i zasług, został prymusem szkoły wojennej, awansował stale z szybkością, łamiącą wszelkie ustalone zasady w tym względzie, a wreszcie—by na froncie cechowało go niezłomne męstwo, rozwaga i geniusz dowódcy. Ten sam człowiek, który osiągnął najwyższe zaszczyty wojskowe w swoim kraju, okazuje niezwykłą wiedzę wojskową i "cywilną," posiada szerokie widnokręgi myślowe i rzadką zdolność ujmowania sobie ludzi. Poza tym jego wygląd zewnętrzny odpowiada romantycznemu obrazowi żołnierza i wodza.

Podobne zjawisko jest we wszystkich epokach zjawiskiem niecodziennym. Dziś jest ono nieprawdopodobnym ideałem powieściowym, czy kinematograficznym. Co w tym zdumiewające to fakt, iż nie jest to bynajmniej wymysł książek dla młodzieży, ale żywy człowiek. Jest nim Douglas Mac Arthur, generał lejtenant armii amerykańskiej i feldmarszałek stworzonej przez niego armii filipińskiej.

* * *

Pisanie o żyjącym generale, odnoszącym zwycięstwa w najgorszych okresach wojny, grozi zawsze popadnięciem w przesadę—stworzeniem panegiryku. Niebezpieczeństwo to nie istnieje, jeżeli chodzi o gen. Mac Arthura. Najbardziej suche wyliczenie ważniejszych faktów z jego życia wyraziście zarysowuje sylwetkę generała amerykańskiego, który z geniuszem napoleońskim łączy elegancję oficera najpierwszych pułków gwardii całego świata oraz klasyczny profil i wyniosłą postać, a w Waszyngtonie słynął nie tylko z planów obrony Filipin, ale z krawatów, ciemno śliwkowych w kolorze i mundurów o nieposzlakowanej linii.

* * *

W roku 1861 młody Amerykanin szkockiego pochodzenia, Arthur Mac Arthur, wstąpił do jednego z pułków armii stanów północnych, rozpoczynających właśnie morderczą wojnę "secesyjną" ze stanami południowymi. Po jej zakończeniu młody oficer pozostał na stałe w wojsku.

Służba w armii amerykańskiej była w tamtych czasach ciężka i niewdzięczna. Oddziały były stacjonowane zdala od miast, po fortach i prezydiach, walcząc z Indianami, tępiąc koniokradów i bandytów, walnie przyczyniając się do cywilizowania "Dzikiego Zachodu." W jednym z takich fortów *Little Rock Barracks*, w Stanie Arkansas, urodził się dnia 26.I.1880 r. jedyny syn majora już wówczas Mac Arthura—Douglas.

Kariera wojskowa majora rozwijała się pomyślnie. Tak dalece nawet, iż kiedy na Filipinach, dopiero co uzyskanych przez Stany Zjednoczone, wybuchło w roku 1898 powstanie, dowódcą wojsk amerykańskich został mianowany generał Arthur Mac Arthur.

Kampania filipińska była długa i uciążliwa. Dopiero w roku 1901 przywódca powstańców Manuel Quezon poddał się, oddając swoją szablę amerykańskiemu generałowi.

Po zakończeniu działań wojennych gen. Mac Arthur pozostał przez lat kilka na Filipinach jako wysoki komisarz, poczym po powrocie do kraju zmarł w dramatycznych okolicznościach na posiedzeniu plenarnym Związku Weteranów Wojny Secesyjnej w Milwaukee w r. 1912.

* * *

W międzyczasie syn jego co raz bardziej odznaczał się w wojsku. W r. 1903 Douglas Mac Arthur kończy akademię w West Point nie tylko z pierwszą lokatą, ale z najlepszymi wynikami całokształtu studiów, jakie zna akademia na przestrzeni 25 lat.

Podczas kampanii meksykańskiej w r. 1914 jest on kapitanem i w operacjach dookoła Vera Cruz oddaje wybitne usługi, działając na tyłach nieprzyjaciela. Po krótkim okresie w sztabie generalnym, gdzie jest łącznikiem prasowym, znalazł się on ponownie w Meksyku w r. 1916 podczas wyprawy armii amerykańskiej przeciwko osławionemu partyzantowi Pancho Villa.

Wejście Stanów Zjednoczonych do wojny otworzyło nielicznym stosunkowo oficerom amerykańskim służby stałej wielkie możliwości. Mac Arthur, jeden z najzdolniejszych, zostaje mianowany pułkownikiem w sierpniu 1917 r. i organizuje 42-gą "Tęczową" /*Rainbow*/ Dywizję w Camp Mills na Long Island, poczem jedzie z nią na front. Była to jedna z pierwszych dywizji amerykańskich, jakie weszły do linii we Francji w 1918 r.

W ogniu młody jej dowódca w krótkim czasie uzyskuje legendarną sławę. Jest stale w pierwszej linii, wielokrotnie i wbrew rozkazom z góry prowadzi osobiście żołnierzy do szturmu. Zawsze jest na najbardziej zagrożonych odcinkach i zawsze bez hełmu. O Mac Arthurze powstają piosenki, które przetrwały za Atlantykiem do dzisiejszego dnia.

W dniu zawieszenia broni ma on w swoim służbowym zapisie dwie rany, siedem cytacji w rozkazach dziennych dla armii i dwanaście odznaczeń bojowych za osobiste męstwo w obliczu nieprzyjaciela. Odznaczenia te są zarówno amerykańskie, jak i innych sprzymierzeńców.

Po wojnie Douglas Mac Arthur, podobnie jak niegdyś jego ojciec, nie opuścił armii. Wprost przeciwnie—wbrew tradycjom został w r. 1919 jako brygadier komendantem akademii West Point, nie mając jeszcze pełnych 40 lat.

W roku 1925, mimo iż jest najmłodszym generał-majorem amerykańskim, Mac Arthur mianowany jest dowódcą okręgu wojennego Filipin, gdzie tymczasem prezydentem jest dawny wróg jego ojca—Manuel Quezon.

W pięć lat później osiąga on najwyższy szczebel swojej dotychczasowej kariery wojskowej—zostaje najmłodszym w historii szefem sztabu generalnego armii Stanów Zjednoczonych. Wspomnieć tu trzeba, iż stanowisko to w Ameryce posiada szerszy zakres, aniżeli w Europie. Szef sztabu generalnego w Stanach jest równocześnie generalnym inspektorem sił zbrojnych i—podczas wojny—faktycznym naczelnym wodzem. Inną cechą amerykańskiego szefa sztabu generalnego, niespotykaną gdzieindziej, jest to, że może on pozostać na swoim stanowisku najwyżej przez pięć lat. Pochodzi to stąd, iż zarówno konstytucja Stanów, jak praktyka administracyjna stale mają na widoku zabezpieczenie się przed dyktaturą.

Mimo to, prezydent Roosevelt łamiąc tradycję, zatrzymał Mac Arthura na szefostwie sztabu generalnego przez dodatkowy rok. Prezydentowi chodziło nie tylko o zatrzymanie cennego doradcy. Szef sztabu w okresie silnych zaburzeń społecznych i gospodarczych w latach 1930—1933 okazał dużo rozumu politycznego, taktu i umiał okazać silną decyzję przy braku brutalności, co szczególnie jaskrawo zarysowało się w r. 1932 podczas t.zw. "zwycięstwa na równinie Anticostia" /*Victory of Anticostia Flats*/, kiedy armia Stanów usunęła siłą tłumy bezrobotnych z Waszyngtonu. To, że obyło się tam bez rozlewu krwi i nadmiernego rozpalenia namiętności politycznych było osobistą zasługą Mac Arthura. W tych okolicznościach dodawał on administracji Roosevelta ciężaru gatunkowego.

W r. 1936 Douglas Mac Arthur złożył szefostwo sztabu generalnego. W Stanach ex-szefowie sztabu, podobnie jak ex-prezydenci, muszą albo umierać po ustąpieniu albo zastygać w bezruchu i nie brać udziału w życiu politycznym czy ustrojowym kraju. Inaczej obecność wielu żyjących najwyższych dostojników państwa i armii jest ambarasująca i dla tych instytucyj i dla osób zainteresowanych.

MacArthur zdjął wprawdzie jedną gwiazdkę generalską z naramienników—stopień pełnego generała, cztery srebrne gwiazdy na każdym naramienniku, posiadają w armii amerykańskiej tylko szef sztabu generalnego na czas pełnienia funkcji i szczególnie zasłużeni wodzowie zwycięskich wojen. W historii Stanów było zaledwie siedmiu pełnych generałów "na stałe," (wśród nich żyjący do dzisiejszego dnia Pershing), ale Mac Arthur bynajmniej nie zamierzał ani umierać ani odosabniać się.

Wprost przeciwnie. Na zaproszenie rządu Filipin udaje się do Manili dla zorganizowania obrony archipelagu. Jednocześnie łamie dużo ogólniejszą tradycję amerykańską, przyjmując z rąk dawnego wroga swojego ojca, Manuela Quezon, buławę feldmarszałka armii filipińskiej. W Stanach, tradycyjnie niechętnych tytułom o posmaku feudalnym, nie było dotąd ani feldmarszałków ani obywateli amerykańskich, którzyby osiągnęli ten stopień w obcej służbie.

Buława marszałkowska wywołała w Stanach burzę w szklance wody. Mimo to i mimo, iż lata 1935—1940 były okresem największego izolacjonizmu, zarzuty pod adresem Mac Arthura obracały się dookoła jego mundurów, ambicji i sposobu wyrażania się; nazywano go "Beau Brummel" * sztabu i złośliwie utrzymywano, że jest zwolennikiem motoryzacji armii dlatego, iż źle jeździ konno.

Nawet najbardziej niechętne mu osoby jednakże nie podawały w wątpliwość ani jego umysłu, ani zasług, ani męstwa, ani prawości charakteru. Z tym wszystkim wytworny generał był niedoceniony i niezrozumiany.

* * *

Nie dostrzeżono w nim umiejętności ujmowania zagadnień międzynarodowych w skali światowej, zdolności tworzenia wielkich planów strategiczno-politycznych, talentu dowodzenia i zyskiwania sobie miłości podwładnych.

Mac Arthur tymczasem, związany "rodzinnie" /przez ojca/ z Dalekim Wschodem, rozumiał groźbę Japonii i znał Japończyków. Zadanie Stanów na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie pojmował przede wszystkim jako oddziaływanie siły zdolnej do utrzymania równowagi, jako jedynego czynnika zdolnego do zaszachowania zorganizowanej, mściwej, nienawistnej i podstępnej barbarii japońskiej. Zdawał on sobie wreszcie sprawę i z nieuchronności nadciągającej burzy i z tego, iż rozpęta się ona lada chwila.

W roku 1935 budżet filipińskich sił zbrojnych wynosił 8 milionów dolarów. Z tym kapitałem i kilkunastu tysiącami garnizonu amerykańskiego na Filipinach—Mac Arthur przystąpił do olbrzymiego dzieła. W szybkim tempie powstaje filipińska akademia wojskowa Bagaio, szkoły lotnicze na Kelly i Randolph Fields, organizacja kursów oficerskich na uniwersytetach i przysposobienia wojskowego młodzieży.

Mimo niewiarygodnych trudności w Ameryce i na Filipinach armia filipińska nie tylko powstała, ale rozwijała się tak pomyślnie, iż w roku 1946 obrona kraju przeszłaby całkowicie w jej ręce, Filipiny zaś—po ukończeniu wszystkich zaprojektowanych prac fortyfikacyjnych—stałyby się niezdobytą twierdzą.

* * *

Dnia 26 lipca 1941 r. Douglas Mac Arthur zostaje z powrotem powołany do służby czynnej w armii amerykańskiej w stopniu generała-lejtenanta i mianowany naczelnym wodzem wszystkich amerykańskich sił zbrojnych na Dalekim Wschodzie. W kilka miesięcy później wybucha wojna.

Przychodzi najazd japoński. Generał Mac Arthur na czele kilkunastu batalionów amerykańskich i kilkudziesięciu tysięcy ciągle jeszcze słabo wyposażonych Filipińczyków stawia opór nie tylko mężny, ale i skuteczny, zapisując jedyną jasną kartę pierwszych czarnych miesięcy na Oceanie Spokojnym.

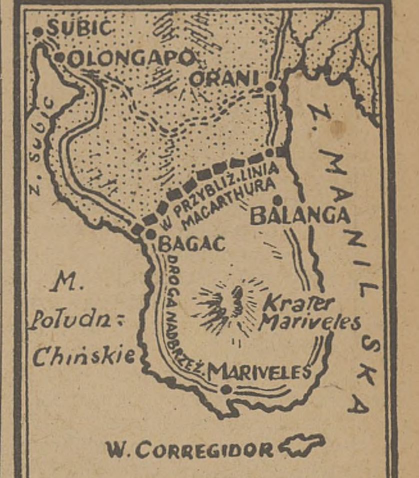
Zepchnięty przez wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela i otoczony, Mac Arthur znów dokonuje czegoś, czego nikt nie mógł od niego ani żądać, ani się spodziewać. Pod naciskiem japońskim nie poddaje się, ale zamyka na niedostępnym półwyspie Bataan i stamtąd wbrew wszystkim i wszystkiemu, wbrew zdawało by się zdrowemu rozsądkowi i bez nadziei szybkiej odsieczy—trwa, broni się, zadaje dotkliwe ciosy oblęgającym Japończykom.

Komunikaty z tego odległego frontu drugiej wojny światowej donoszą krótko, iż na Bataan wojska Mac Arthura trzymają się, odbijają ataki z lądu, powietrza i morza i jak dotąd nie tylko powstrzymały wroga, ale dokonują wariackich wycieczek.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa—mimo milczenia komunikatów z Bataan na ten temat—można twierdzić, iż wycieczki prowadzi osobiście dowódca obrony, "najprzystojniejszy oficer Ameryki," którego żona nawet nazywa "generałem," a wdzięczni sprzymierzeńcy, i krajanie jego, jak front długi i szeroki mogą go, wedle dawnych rzymskich jeszcze zwyczajów, nazwać "Mac Arthurem Filipińskim" w dowód wdzięczności i uznania.

Niczego tu już nie zmieni taki czy inny dalszy obrót kolei losów.

MARIAN SYNKOWSKI



Półwysep Bataan i malutka wyspa Corregidor, zamykająca wejście do zatoki Manili na wyspie Luzon

* Znany elegant w Wielkiej Brytanii. Żył na przełomie XVIII i XIX w. i słynął z niezwykłego sposobu życia.

WIERSZE

PEJZAŻ POGODNY

Są jeszcze u nas ścieżki wojną nieskażone,
Pociskiem nierozdarte,
Wśród róż polnych wiodące w tę czy inną stronę.

Tak samo dziś jak w czasach szczęścia i pokoju
Błyszczą tam zrana
Rozścielone wśród barwnych ros tarcze powojów.

Brzoza, niezmienna w lekkiej swojej melancholii
/Niewojennej, starej jak świat!/
Liśćmi cień własny zbiera z gliniastych wyboi.

W kłosach-warkoczach z ziarna splecionych
i słońca—
Otwiera się gościniec.
Kasztan, jak grupa służby, świece podnosząca—
Świece w słońcu daremne, jednak uroczyste—
Zdaje się wypatrywać
Powrotu Wesołości, jasnej polskiej pani . . .

WSPOMNIENIA Z ŁĄK

Kąkol ostry chociaż pełen tęczy,
Odrzucony w głębie zboża barwny kolec—

Dzika róża, w zakurzonym zespole
Pokrzyw, płotu, malin i pajęczyn—

Chwast cykorii, żółty, rozpryskany
Jak rozbite jajko wronie albo sójcze—

Goździk polny, gwiazdka drobnej rany,
Neonowo błękitny dzwonek—

Ach, uroki, tak dziś drogo zapłacone,
Tak zdradliwe w swej skromności,
tak zabójcze . . .

MAKI OBRODZĄ PO WOJNIE . . .

Pola bitwy, pobojowiska,
Legendarne, przyszłe uroczyska
Mak będzie, kwitnąc, odmierzał . . .

Naturo, tyś pierwsza przed nami
Uczciła, pełna żałości,
Ogniskami płomiennych kwiatów,
Pamięć Nieznanego Żołnierza . . .

MARIA PAWLIKOWSKA

JESZCZE JEDNO NIEPOWODZENIE NA MORZU

Po sukcesach morskich Aliantów w cieśninie Macassar i pod Bali nadeszła w dniach 27 i 28 lutego 1942 r. dotkliwa porażka na wodach na północ od Jawy. Bitwa ta zadecydowała o losie Jawy i w dwa dni później rozpoczęła się inwazja tej wyspy, zakończona jej zdobyciem przez nieprzyjaciela.

Bitwa na północ od Jawy jest przykładem, że przy obecnych środkach, walki trudno jest się przeciwstawić nieprzyjacielowi znacznie silniejszemu. Stąd wniosek, że . . . siły morskie Sprzymierzonych, zgromadzone dla obrony Jawy były niewystarczające. Prasa amerykańska podkreśla przy tym, że "eskadra Jawy" była zanadto "mieszana," składała się z okrętów brytyjskich, holenderskich i amerykańskich, posiadających załogi w innych metodach wyszkolone i w odmiennym wychowane duchu.

Przebieg tych tragicznych wydarzeń był nastpujący. Popołudniu dnia 27 lutego eskadra Sprzymierzonych, składająca się z krążowników brytyjskiego: H.M.S. "Exeter" /słynnego z walki z "Graf Spee" w r. 1940 przy ujściu Rio de la Plata/, australijskiego H.M.A.S. "Perth," amerykańskiego "Houston" oraz dwa holenderskich: "De Rutyer" i "Java," szła na północ od bazy Surabaya. Krążownikom towarzyszyły trzy kontrtorpedowce brytyjskie "Electra," "Jupiter" i "Encounter" oraz holenderski k.t. "Kortenaer." Eskadra działała pod dowództwem admirała holenderskiego Doorman'a, którego flaga powiewałą na "De Rutyer."

O 4,15 po południu eskadra weszła w kontakt z okrętami japońskimi. Siły nieprzyjaciela wynosiły najmniej dwa krążowniki klasy "Nati" /10,000 tonn/ oraz większą liczbę innych krążowników. Krążowniki japońskie szły w towarzystwie trzynastu kontrtorpedowców.

Walka rozpoczęła się z dużej odległości. Japońskie k.t. niebawem przypuściły gwałtowny atak dwoma flotyllami. Gdy jedna z nich została odpędzona ogniem dział Sprzymierzonych (przy czym jeden k.t. japoński stanął w płomieniach), druga flotylla rozpoczęła atak torpedowy.

Wojna na morzu

H.M.S. "Exeter" został trafiony torpedą w kotłownię, co znacznie zmniejszyło jego szybkość i zmusiło go do wycofania się z linii bojowej. Holenderski kontrtorpedowiec "Kortenaer," trafiony bezpośrednio, zatonął. Trzy kontrtorpedowce otrzymały rozkaz kontrataku. Japońskie k.t. wycofywały się w zasłonie dymnej.

Ściśle nie wiadomo jaki był rezultat tego ataku k.t. Sprzymierzonych. H.M.S. "Jupiter" zameldował tylko dwa japońskie k.t., z którymi związał się natychmiast ogniem działowym. Kontrtorpedowca "Elektra" nie ujrzano już więcej od chwili, gdy zniknął w zasłonie dymnej. Prawdopodobnie okręt ten zatonął.

Jednocześnie krążowniki Sprzymierzonych /oprócz H.M.S. "Exeter," który nie był już w możności prowadzić walki/ ruszyły do ataku na nieprzyjaciela, tym razem ze znacznie bliższej odległości. W pół godziny potem krążowniki nieprzyjacielskie zawróciły, oddalając się w zasłonie dymnej. Jeden z 10.000 tonnowych krążowników nieprzyjacielskich został trafiony i uchodził, gwałtownie płonąc.

Admirał Doorman rozpoczął więc pościg nieprzyjaciela, lecz nie zdołał nawiązać z nim kontaktu przed zapadnięciem nocy. Po zmroku krążowniki Sprzymierzonych zauważyły cztery krążowniki nieprzyjacielskie w zachodniej stronie i zaraz nawiązały kontakt. Rezultat tej walki nie jest znany.

Ponieważ jednak szybkość nieprzyjaciela znacznie przewyższała szybkość Sprzymierzonych, więc eskadra skierowała się bliżej wybrzeży Jawy. W cztery godziny potem zatonął kontrtorpedowiec brytyjski H.M.S. "Jupiter" na skutek eksplozji podwodnej.

Około godziny 11,30 w nocy, gdy eskadra znajdowała się na północ od Rembang, dwa nieprzyjacielskie krążowniki ukazały się pomiędzy wybrzeżem i okrętami Sprzymierzonych. Otwarto natychmiast ogień i zauważono szereg trafień na krążownikach nieprzyjacielskich, które odpowiedziały również gwałtownym ogniem. Nagle, prawie jednocześnie, obydwa krążowniki holenderskie "De Rutyer" i "Jawa" zostały trafione przez torpedy /prawdopodobnie nieprzyjacielskich okrętów podwodnych/. Po dwu straszliwych eksplozjach oba krążowniki zatonęły natychmiast.

Według obserwacji na H.M.A.S. "Perth" jeden z japońskich krążowników zatonął, drugi został ciężko uszkodzony, a jeden z towarzyszących im kontrtorpedowców wyleciał w powietrze. Również zostało stwierdzone, że japoński krążownik klasy "Mogami" /8,500 tonn/ stanął w płomieniach, a trzy japońskie kontrtorpedowce, towarzyszące mu, zostawiono palące się i tonące. H.M.A.S. "Perth" uszkodzony, zawinął do Tanjog Priok o siódmej.

Niedobitki eskadry Sprzymierzonych znalazły się teraz w bardzo niebezpiecznej sytuacji, wobec tego, że nieprzyjaciel panował już właściwie na wodach wzdłuż całego północnego wybrzeża Jawy /600 mil morskich/. H.M.A.S. "Perth" i amerykański krążownik "Houston" próbowały przedrzeć się na południe i w tym celu opuściły Tanjok Priok rankiem dnia 29 lutego.

Ostatnia wieść o tych krążownikach mówiła, że nawiązały walkę z nieprzyjacielem około godziny 11.30 wieczorem na północ od przylądka St. Nicholas. Od tej chwili wszelki słuch o nich zginął. W dniu 1 marca, posuwający się powoli, "Exeter" zameldował, że napotkał dwa japońskie krążowniki. I o tym okręcie więcej nie słyszano. Kontrtorpedowcce amerykański "Pope" i holenderski "Evertsen" napotkały niedaleko już cieśniny Sunda również dwa japońskie krążowniki. "Pope" zatonął, "Evertsen" został ciężko uszkodzony i wyrzucony na mieliznę.

Również kontrtorpedowiec H.M.S. "Stronghold" i kanonierka H.M.S. "Yarra" zaginęły i powinny być uważane za stracone.

O PANOWANIE NA OCEANIE SPOKOJNYM

Jest to strata poważna i wynik tej bitwy zaciążył na razie na losach Indji Holenderskich. Japończycy uzyskali dzięki tej bitwie kontrolę na Morzu Jawajskim i na wodach wysp Indji Holenderskich. Czy przez to panują na całym Oceanie Spokojnym? . . .

Na pytanie to należy odpowiedzieć przecząco. Jest to bowiem przegrana dotkliwa, ale nie przegrana decydująca. Wielkie transporty amerykańskie bezpiecznie docierają do Australii, a straty i rany Pearl Harbour zostały naprawione i wyleczone. Nie trzeba się więc sugestionować tym niepowodzeniem, jak i innymi niepowodzeniami. Nie należy też zapominać, że sytuacja zmieniła się o tyle, że obecnie Amerykanie zbliżyli się do swych baz, gdy Japończycy oddalili się i to dość znacznie.

Zadanie jednak, które obecnie stanęło przed Sprzymierzonymi, a przede wszystkim przed Stanami Zjednoczonymi, nie należy do łatwych.

Londyn, 16 marca 1942.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Pomoc dla Polaków w Rosji: £719

Szanowna Redakcjo,

Rodacy w Rosji cierpią nędzę. Nam tu powodzi się dobrze. Mamy wielu przyjaciół, którym z okazji świąt przesyłamy życzenia. Zaoszczędzimy sobie fatygi, Rządowi papieru, poczcie pracy, a Rodakom w Rosji przynajmniej w drobnym ułamku przyczynimy się do znośniejszego "Wesołego Alleluja"—przesyłając miast życzeń, ofiary na Polaków w Rosji.

W tej intencji składam Ł.3.— (trzy funty ang.) Może przykład znajdzie naśladowców.

Ks. Warakomski, starszy kapelan W.P.

* * *

Polska Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii składa od pracowników i świetliczarek za miesiąc marzec Ł. 8. sh. 10.—

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłam Money Order na £8:9:6. (osiem funtów, dziewięć szylingów i sześć pensów), którą to kwotę samorzutnie złożyli uczniowie "Kursu Gimnazjalnego dla Odkomederowanych Szeregowych," aby pomóc Polakom przebywającym w Rosji.

Kierownik Kursu

* * *

Załoga sierż. pil. Jana M. składa kwotę £5 (słownie: pięć) na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji.

* * *

Józefowi Wieszczkowi w dniu imienin życzymy serdecznie wszystkiego dobrego, a przede wszystkim szczęśliwego powrotu do "samiutkich Tater," składając zamiast upominku 33 sh, na pomoc dla Rodaków w Rosji.

Koleżanki i kolędzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Oficerowie Oddziału III Sztabu N.W. złożyli, zamiast przyjęcia koleżeńskiego na pożegnanie ppłk. K., na fundusz pomocy Polakom w Z.S.R.R. sumę . . . £7.10.0.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Żołnierze Maintenance Wingu Szkoły Pilotażu (16/3/5 T.J.S. R.A.F. Station, Newton) złożyli w dniu dzisiejszym kwotę Ł 2/13/7 na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Załączam Money Order na powyższą sumę i proszę o przesłanie go do P.C.K.

Adjutant Polskiej Szkoły Pilotażu

* * *

Nadto złożyli na ten cel następujące ofiary: K.W. p. 76 zamiast prezentu dla Kazimierza N.Ł. 1; S.Z. p. 76 zamiast prezentów imieninowych Ł.3; Strzelec X.Y. z myślą o ojcu, który jest w kraju Ł.6.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze Ł46 16sh. 1d. (słownie: czterdzieści sześć funtów szter. szesnaście szylingów, jeden pens) przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £719 16sh. 1d. (słownie: siedemset dziewiętnaście funtówszter. szesnaście szylingów jeden pens).

Fata-mrugana

Dowódca kompanii, przyjmujący kolejne wypowiedzi uczestników raportu, zatrzymał się przed strzelcem Pakułą w postawie zasadniczej:

—Panie kapitanie, strzelec Feliks Pakuła przy raporcie karnym z powodu faktycznie hipnotezy libijskiej.

—Czego?

—Znakiem tego . . .

—Dosyć. Odpowiadać krótko i rzeczowo. Pobiliście kaprala Tarnowskiego i st. strzelca Ziembińskiego. Co macie na swoje usprawiedliwienie?

—"Ogniem i Mieczem" oraz także samo "Potop." Tarnowski mnie się spóźniał z zaopatrzeniem i się cholera tłomaczył, że mu sikora źle chodzi, a Ziembińszczakowi musiałem orientacje strategiczną wyrównać, bo mnie ciągle i wciąż—panie kapitanie —w pustynie nawalał. A po trzecie nie mogie krótko danej historii objaśnić, bo zrozumienia pan kapitan mnie nie okaże i za łobūza będę w ewidencji personalnej pisany.

—No, więc dobrze. Opowiadajcie wszystko od początku. Słucham.

Strzelec spojrzał śmiało w twarz swemu dowódcy, jednym rzutem oka przejechał po profilach współtowarzyszów, mrugnął znacząco w stronę nieco wychylonego z szeregu kaprala Wyciora i z ust jego popłynęła opowieść snująca wypadki w kinematograficznym tempie. A było to tak:

—I widzisz pan, panie kapral, że ten w Cyrenajke szarpany Rommel w rumel naszych aliantów co i raz podgrzewa!

—A co ma robić? Może ich będzie na cocktail-party zapraszał? Zapewnież Adolf mu powiedział: Rommel trzymaj się ramy i ganiaj po pustyni w te i nazad, aż się angliczany pogubią. Postarasz się—to cię Ramzesem, czyli gauleiterem egipskiem zamianuję. Jakby cię przypadkowo bili—masz się w kamienistego sfinska przemienić i z wtajemniczonem uśmiechem potęgie giermańskie na piasku bez przestanku budować!

—Z próżnemy rękamy to się ten szwabski afrykaniec na wojnę nie wybrał. Ale angliczany mieli w drugiej ofensywie Niemców przyskrzynić na amen. I coś jem nie idzie.

—Jak nie idzie, to może poleci. Temczasowo, panie strzelec, oni te wojne prowadzą swojem staroświeckiem trybem: na zmęczonego.

—To nasze chłopaki w Tobruku tyż się będą męczyć?

—Wiadomo.

—Cholera mnie bierze na to wszystko. Sienkiewicza tu potrzeba za komandosa, to by jem pokazał. Czytaj pan, panie kapral!

Strzelec Pakuła wydobył z kieszeni battle-dress'u kilka zadrukowanych kart i wskazał artykuł, w którym autor stwierdza, że aczkolwiek plan zniszczenia Korpusu Afrykańskiego gen. Rommela był piękny i śmiały, nie mógł on jednak dać pełnego rezultatu, gdyż dowódca 8-mej Armii nie rozporządzał dla jego przeprowadzenia odpowiednimi siłami. Ponadto doktryna użycia sił brytyjskich wydaje się za mało nowoczesna. Aby zupełnie jasno wyrazić tę myśl autor przedstawia czytelnikowi ciekawą hipotezę, opartą na sienkiewiczowskich opisach walk, prowadzonych przez księcia Jaremiego-Wiśniowieckiego. Sienkiewicz,—zdaniem autora—"uczył nas historii i miłości Ojczyzny, ale mógłby nas też uczyć najnowocześniejszej taktyki."

Kapral Wycior, skończywszy czytanie, wyrzekł powątpiewająco:

—Co inszego papier, a co inszego pustynia.

—Może sprawdziem?—zapytał Pakuła.

—Jakiem sposobem?

—Weźmiem mapę, zwołasz pan chłopaków i zrobiem grę wojenną pod te hipnoteze. Stoi?

—All right!

Kapral zakrzyknął do sąsiedniej izby na żołnierzy. Po chwili stawiło się ich czterech. Strzelec Pakuła rozpostarł mapę na stole i objaśnił kolegów o postanowieniu przeprowadzenia gry wojennej i jej założeniach, co się spotkało z ogólnym zaciekawieniem i zgodą. Przystąpił więc do rozdziału ról i sił.

—Ja jezdem książe Sir, Jarema-Wiśniowiecki, gienerał imperialny i dowodzę 8-mą Armią aliancką o zwiększonem stanie. Ziembińszczak będziesz za hitlerowca. Dowodzisz Korpusem Afrykańskim i nazywasz się Rommel. Nie mrugaj okiem, bo ci egipskie zapalenie uskutecznie. Strzelec Osełedec prowadzi jedne letkie dywizje pancerne z samochodamy pancernemi, Bren-carrier'samy i letkiemi czołgamy. Uważaj lebiego! Odgrywasz moich kozaków. Zadanie: masz obskoczyć i migiem zatrzymać na jednem miejscu Ziembińszczaka-Rommela, żeby się zanadto nie rozrabiał w ofensywie. Za kozakami idą trzy dywizje pancerne dragonów Wołodyjowskiego—znaczy—pana kaprala Wyciora, a z a niem jedna ciężka dywizja pancerna z ciężkiemi czołgamy towarzysza husarzów Skrzetuskiego, czyli pana plutonowego z cenzusem Suchego. Jak krzyknę: "bij, kto w aliantów wierzy!"—to pan plutonowy rozpęd weźmie i Ziembińszczaka wzorem trąby powietrznej zmiecie z Cyrenajki. Na samym końcu posuwa się ruchomy obóz warowny hetmana Tarnowskiego—dowodzi kapral Tarnowski. Tarnowszczak! masz ważne fonkcje: zaopatrzenie, środki pędzące, warsztaty mechaniczne i wszystko, co potrzeba do "Blitzkrieg'u." Bijem się tak: kozaki letkiej dywizji pancernej harcują do pucu przed Rommelem i nie dają mu spokojnie popijać wody z pragnienia. Za niemi wchodzą do akcji dywizje pancerne dragonów pana kaprala Wyciora i tak manewrowo napuszczają wroga, żeby się znalazł w odpowiedniem do grzania położeniu.

—A jak nie będzie miał życzenia się położyć, to co?—spytał leniwie kapral Tarnowski.

—Pieska twoja niebieska rzecz się o to pytać! Przymknij twarz, bo obsztorcuje na perłowo. Jadziem dalej. Wtenczas—jak mówię—za dragonamy, ciężka dywizja pancerna pana plutonowego z cenzusem Suchego-Skrzetuskiego raz a dobrze wali szwabów i, bez zaskoczenie, tem sposobem, otwiera drogę do połączenia się z Tobrukiem.

—Patrzyć, a tu burza się porywa, dywizje pancerne Skrzetuskiego w wydmy piaszczyste obraca, a my krzyczem "sieg heil!" i przez tak zwane poczucie humoru, czyli wyższej rasy, rżniemy na "hurra" Wołodyjowskiego — stwierdza kategorycznie generał Rommel.

—O wiele mnie się zdaje będziesz rżnięty rozpaczliwie, ponieważ faktycznie w tem czasie Tarnowszczak ze swojem obozem warownem, któren posiada specjalne oddziały przeciwpancerne, zajeżdża w korytarz El-Razegh i El-Dudą, robi fajrant dla towarzyszów pancernych Skrzetuskiego i jeich czołgi ganiają do akcji na głównem froncie. Chłopagi uwaga! Wołodyjowski do słowa dojść nie daje Ziembińszczakowi swojemi trzema dywizjami pancernemi, a Skrzetuskiego dywizja wychodzi sobie spacerem na bok i plecy Korpusu Afrykańskiego.

—No, i co potem?—zapytuje wesoło Ziembiński-Rommel.

—A potem, ja się drę: "kupą gentleman'y!" i leżysz łachmyto jeden, w żałobne ciało przemieniony. Tarnowszczak zgarnia szakalów z całej pustyni i głodne zwierzęta mają całoroczne frajerskie utrzymanie.

—Bajeruj Feluś swoje nieboszczkie, a nie starego partei-towarzysza. Tarnowszczak, po pierwsze, ma cykorie, a po drugie—to w tem danem strategicznem momencie—kime odwala. Kapuj na niego!

—Tarnowszczak, do wielkiej małpy!—wrzasnął strzelec Pakuła.

—O, rany!—wrzyknął przebudzony z drzemki kapral.

—Żłobie jeden, to ty mnie haotykę będziesz zaprowadzał w tem trakcie, jak się Rommel do angriff'u szykuje?

—Za przeproszeniem, panie książe—bez ten choleryczny gorąc na pustyni, mnie się szalennie mgło zrobiło.

—Ale wojne prowadziem, pętaku!

—Ja siedzę w korytarzu El-Duda tak, czy nie? Jest godzina dwonasta —znaczy—lunch się należy. Prócz tego południową porą rozpoczyna się "half-holyday," bo czwartkowy dzień.

—Żebym ja cię nie uraził w holyday! Odstawiasz szopkę, czy co? Akordową reperację czołgów uskuteczniaj!

—Mam czas. Przecież pan plutonowy z cenzusem Skrzetuski naparza Rommela, jak nieprzytomne ofiare losu i tej szwabskiej palmie ledwo 1/3 maszyn została. Reszta potłuczona. Moje prawo matematyczne jest straty obliczać—rzekł zdenerwowany dowódca obozu warownego.

—Panie hetman, wolnego! Wszystko to jest zwyczajny pic. Swoje markize mam i w elektrycznem trybie, bez jedne noc, nadwyrężone czołgi, na nowo kolorem ochronnem zapuszczane, do akcji przywracam.

—Tak, czy siak—ruszać się nie możesz, bo akuratnie leje jak z cebra. Czy nie wisz czasem, że pustynia w te pore w błotne kapiele się zamienia?

—Jak dla kogo. Skoro, jeżeli chcesz mnie w mokry kant uderzyć, to ci powiem, że mój Korpus Afrykański zaznacza się zdrowiem odpowiedzialnem na wszelkiego rodzaju chlapanine. A nawet poniekąd i w takiem atmosferycznem bałaganie każdego jednego wykształcić na łagodniaka mogie!

—Detalicznie?

—I hurtownie.

—No, to już—wyszczególniaj się.

—Ty, Feluś posyłasz swoich kozuni z letkiej dywizji pancernej, żeby mnie na lipe brali, a moje Luftwaffe rozgania obóz Tarnowszczaka na fest i z tego danego hetmana jedne tropikalne desusy masz na pamiątkie. Dragony i husarze pancerne mojra mnie nie napędzą, bo jem takie szacherke—macherke odstawię, że . . .

—Jakie?—przerwał strzelec Pakuła.

—Fata-mrugane, czyli mirażem zwane, proszę Jego Książęcą famileję

—Pod jakiem względem?

—A pod tem, że jak dużo gorąca w powietrzu się nazbiera, to się z niego robi Fata-mrugana.

—I taki lanszaft powstaje—dorzucił st. strzelec Ziembiński—że na niem Feluś widzisz mój Korpus Afrykański, zwiewający na południe —na ten przykład. Ty ganiasz za niem, a lanszaft znowuż daje chodu . ..

—No, i co z tego?

—A później wiatr zawieje i robi się miraż, czyli marzenie ściętej głowy, bo korpusu nie ma!

—No, to niech nie będzie!

—Ależ kiedy faktycznie jest.

—Gdzie?

—Lewy korpus na lanszafcie— wtrącił kapral Tarnowski—a prawdziwy . . .

—Naparza od tyłu Jego Książęce armię a potem za koleją finish: Libia, Cyrenajka, Egipt i jadziem nad Czerwone Morze potopić reszte starozakonnych bankierów! — rzucił tryumfująco generał Rommel.

—Paszoł—że ty wont od morza!— zagroził Pakuła.

—Tylko nie wont!—zacietrzewił się Ziembiński.

—N-i-e ?—zwolna wycedził Feluś z taką intonacją głosu, że zajęci przesuwaniem wojsk pancernych Wołodyjowski i Skrzetuski podnieśli z nad mapy zafrasowane i zdumione oblicza.

—A właśnie, że nie!!

Strzelec Pakuła skoczył jak tygrys do gardła Ziembińskiemu. Najbliżej stojący Tarnowski usiłował temu nieudolnie przeszkodzić. Ale wściekłość książęca nie miała granic. Padły dwa straszliwe uderzenia. Jak obuchem rażeni legli na podłodze Ziembiński-Rommel i nieszczęsny wielbiciel humanitaryzmu kapral Tarnowski.

* * *

Dowódca kompanii stał poważnie zamyślony. Ubiegłego wieczoru rozpatrywał wraz z innymi oficerami batalionu zagadnienie sukcesów gen. Rommela w Afryce. Wczorajsze troski przybrały na sile pod wpływem opowieści strzelca Pakuły. Rozumiał tego żołnierza i oceniał trzeźwo przykrą formę jego gniewnej pasji.

—"Rozejść się!"—padł nagle rozkaz dowódcy kompanii. Zdumieni żołnierze wykonali przepisowy zwrot. Oficer z uśmiechem zapytał:

—Strzelec Pakuła, a nie mieliście jeszcze jakiegoś oddziału zdolnego do akcji?

—Nie. Kupą szłem na Rommela, żeby go odrazu wykończyć.

—Miał, panie kapitanie!—rąbnął z miejsce Ziembiński-Rommel.— Miał Brygade Karpackie. Tylko, zamiast żeby chłopaki kucali za krzakamy i strzelali z siedmiorodzajowych karabinów, trzą ich było w pancerne-czołgowe brygade, jak ta lala, sformować i klinem rzucić. Wtenczas mógłbyś mnie Feluś z Afryki kota popędzić!

BILL

Z życia obozów

Żołnierze polscy kochają dzieci

Gdy kiedyś w przyszłości historycy zabierać się będą do opisywania dziejów Szkocji wieku XX-ego i dotrą do piątego dziesiątka lat tego wieku, natrafią na ślady obce, napływowe, inne, niż wszystko co było dotychczas. Ślady te będą widoczne w gazetach współczesnych, publikacjach, wyglądzie zewnętrznym miast i miasteczek, zmianie codziennego życia tak bardzo konserwatywnych mieszkańców tego kraju i w wielu innych szczegółach. Ślady te pozostały wryte głęboko w duszach i mózgach ludzkich, wpłynęły na ich prace, twórczość, poglądy. Wspomnienia mieli wszyscy—dorośli i dzieci.

Dzieci szczególnie. Mgliste wspomnienie jakiejś zabawy urządzonej z niecodziennym rozmachem i fantazją, jakichś podarunków, zabawek, książek. A potem, gdy dziecko noszące w sobie te wspomnienia stało się dorosłym człowiekiem, myśli swe przekazywało następnym pokoleniom szkockim. I rosła legenda, stawała się co raz bogatsza, im bardziej odległa tym mniej realna, bardziej pociągająca. Legenda polskości.

Bowiem ślady, na które natrafiać będzie ów historyk, będą śladami drugiej wojny światowej, której tłem, dekoracją, ozdobą, stał się żołnierz polski. Stał się tym dlatego, że nie opuścił broni, że poszedł szukać walki do ostoi ludzi wolnych, do Wielkiej Brytanii, że poszedł bić się na krańce świata, że czekając na swoją kolej żył między ludźmi innych narodów wlewając strumień polskiego entuzjazmu w ich legendę, zostawił ślad polskości żywotnej i zdecydowanej na wszystko.

Przyjazd Polaków do Szkocji, tworzenie szeregów Armii Polskiej rozbitej raz w kraju, drugi raz zdezorganizowanej ewakuacją z Francji, rola nasza w walkach o Wielką Brytanię, zdobywanie sprzętu, walki na Bliskim Wschodzie—oto tematy, które stanowić będą główny przedmiot zainteresowania owego historyka. Lecz życie codzienne, z tubylcami zajmie mu także sporo czasu. I badając stosy pożółkłych gazet, aktów miejskich, metryk ślubów, wspomnień z uroczystości i wspólnych obchodów, pracy na niwie społecznej, uniwersyteckiej, zastanowi się ów badacz nad widoczną oznaką miłości żołnierza polskiego dla dzieci. Zastanowi się nad tym czytając obszerne sprawozdania z zabaw dziecięcych, na których gospodarzami byli żołnierze-Polacy, gośćmi dzieci szkockie. Zamyśli się nad tym i pocznie się doszukiwać głębszych przyczyn. Wzrok jego padnie na numer gazety, a wyobraźnia odtworzy opisany obraz.

Na zegarze miejskim właśnie wybiła godzina czwarta; ulice były puste a mróz poczynał pisać swe pamiętniki na szybach domów i sklepów. Był styczeń roku 1942. Biały budynek miejskiego Town Hall'u odcinał się wyraźnie od innych, był okazalszy a front jego zdobił orzeł polski na czerwonym tle, wmurowany na pamiątkę pobytu Polaków. Przed tym Town Hall 'em stała gromadka dzieci na coś czekając, w drzwiach ukazał się ktoś kto skinął ręką.

Dzieciarnia hurmem wbiegła do środka. Objęła ją wielka sala, uśmiechnęły się do niej żywymi barwami flagi obu narodów, poważnie spojrzały z boku szarfy czarno-pomarańczowe, odznaki polskiej broni pancernej. Malutkie źrenice rozszerzyły się radością i oczekiwaniem, ustawiony w podkowę stół zapowiadał wiele przeróżnych przyjemności. Czegóż na nim nie było! Poprzez środek biegł pociąg z cukierków, takich najlepszych, może nawet przedwojennych—był długi, tak długi, że rzadko który z dostojnych gości był w stanie dojrzeć jego koniec. Koło i wzdłuż niego pyszniły się ciastka z kremem i owocami, patrząc z pogardą na ciche i skromne biszkopty, orzeszki i migdałki; pstrokate kawałki keksu zajmowały miejsce "stanu średniego" wśród tych wspaniałości. Kolorowe cukierki, ulubiony przysmak dzieciaków, leżały na każdym talerzyku. Goście zasiedli do stołu. A było ich blisko setka.

Zrazu rączki spoczywały spokojnie na kolankach, a oczki z niepokojem strzelały wokoło, czy czasem to wszystko nie zniknie równie nagle i niespodziewanie, jak się ukazało. Małe główki obracały się na wszystkie strony czekając co będzie dalej. Orkiestra stroiła instrumenty. Grupka żołnierzy w mundurach, z napisem "Poland" gorączkowo coś szykowała, pomagając niewiastom, które także w tym niezrozumiałym polskim języku coś rozprawiały.

Nareszcie. Dymiące czajniki z herbatą stały się hasłem do ogólnego startu; małe rączki przestały być bezczynne, małe główki nie szukały niczego na sali—całą swą uwagę, siłę i energię skupiły na tym, co znajdowało się w ich najbliższym zasięgu. Sypać się poczęły okruszyny z dumnych, jakże pewnych siebie ciastek królewskich, znikały w piąstkach mocno zaciśniętych orzeszki i przysmaki, policzki spuchły, ząbki chrupały, brzuszki napełniły się szybko, a oczy pragnęły ciągle więcej i więcej. Napęczniały kieszonki spodenek i fartuszków, opustoszały stoły, pokazały się dna filiżanek.

Orkiestra zagrała skoczne melodie, ruszyły się dzieciaki do tańca. Duże koło przeplatane postaciami koloru khaki obracało się tam i z powrotem, wiło się jak wąż, gubiło pojedyńcze człony, śpiewało, śmiało się, bawiło szczerze i serdecznie. Potem potworzyły się małe kółka, ktoś śpiewał, ktoś inny gwizdał, pryskało żywe srebro dziecięcego śmiechu. Żołnierze pomieszali się z dziećmi, zapominali o tym, że przecież im dorosłym nie zawsze wypada, bawili się tak samo jak malcy, zapominali o świecie, wojnie, o wszystkim.

Pod ścianą, w kącie sali, stało ich dwóch. Obaj byli poważni, może nawet smutni, obaj bardzo wzruszeni. Patrzyli na bawiące się dzieci, na opustoszałe stoły, na radość i zadowolenie. Obaj mieli synków w Polsce. Gdy wojna wybuchła byli małymi chłopcami, dziś pewno są już prawie dorośli. Czy mają oni możność śmiechu, czy żyją w dostatku, czy istnieją? Stęsknione oczy goniły małe postacie biegające po sali; coś bardzo ściskało serce.

Patrząc na nich nauczycielki Szkotki szeptały między sobą, że żołnierze polscy muszą bardzo dzieci lubić. Muzyka grała szkockie melodie, dzieci tańczyły, a ich myśli odbiegły gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Chwila przerwy, krótkie przemówienie kierownika szkoły, hymn polski i brytyjski zakończyły zabawę. "Jeszcze Polska nie zginęła" śpiewane cienkimi głosikami dzieci—po polsku, dawało złudzenie pobytu w domu. Sala opustoszała, żołnierze pieczołowicie nakładali paltociki i czapki swym małym gościom. Stoły zmieniły swój wygląd i stały się podobne do rozległej pustyni. Na drugi dzień miasteczko przeżywało w tysiącznych wersjach wrażenia dzieci.

Tak widzieć będzie obraz ów w wielu pismach miast i miasteczek. Zamyśli się historyk nad naturą słowiańskiego ludu, który najazdu na Szkocję bezkrwawego dokonał i serca jej mieszkańców podbił dokładnie, poduma nad koleją jego losów, westchnie nad synami tego ludu, którzy życie oddali za swój i jego kraj, w skrytości ducha może pożałuje, że nie dane mu było żyć w tamtych, jakże ciekawych czasach, a w notatniku swoim napisze jedno zdanie:

"Żołnierze polscy kochają dzieci, świadczy o tym historia."

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

fot. Jan Olgierd Bożenko



Obdarowane słodyczami dzieci przysłuchują się chórowi saperów

Spitfire'm na ambonę

czyli zawrotna kariera myśliwca, który został kaznodzieją

Podczas poobiedniej kawy Arthur, *Education Officer* naszego squadronu, przystąpił do mnie z uśmiechem rezygnacji i zakłopotania, prowadząc równie zakłopotanego, lecz nie zrezygnowanego porucznika Armii Królewskiej.

—"*Hullo, Gustaw, here is John, John Smith,* /'ow d'ye do, 'ow d'ye do/. Ma prośbę do Ciebie, żebyś jego wojsku w obozie Squeak-on-Sea wygłosił odczyt o twoich przeżyciach wojennych . . . tak, oczywiście po angielsku . . . Ależ napewno zrozumieją, twój angielski jest *excellent* . . . Przeciwnie, jestem pewien, że potrafisz . . . Nie, nie długi odczyt, jakąś godzinę . . . *You will manage it, wan't you?*"

—"*I will*"—wyszeptałem resztkami sił i z zastygłym na wargach uśmiechem uprzejmości wypiłem wystygłą kawę.

Zaczęły się dni ciężkich trudów przy zakonnym trybie życia.—"Dziś wieczorem party w Golden Vamp hotelu!"—"Nie mogę, piszę odczyt."—"Jedziesz na dancing do Old Corns Palace?"—"Piszę odczyt."—"Miss Scarlet dzwoniła, żebyś przyszedł na herbatę."—"Powiedz jej, że jestem *awfully sorry*, ale piszę odczyt."

Kolega nie orientował się w temacie i powiedział Miss Scarlet: "Pilot officer Nierad pisze Historię Polski."

Nadszedł dzień krytyczny. Poprosiłem dowódcę *flightu* o *day off*:

—"Sam rozumiesz, że nerwowe podniecenie przed odczytem mogłoby wpłynąć ujemnie na moją wydajność, jako pilota."

—"Oczywiście,—zgodził się dowódca,—nawet rad jestem, że podjąłeś się tego, bo to propaganda, widzisz, my, Polacy, tego, walka z bronią w ręku, chciałem powiedzieć . . ."

—"Tak, tak, właśnie z tego punktu widzenia chcę mówić"—zapewniłem go.

Arthur pojechał razem ze mną, jako oparcie moralne. Prosiłem go, żeby słowa, lub całe zdania, budzące wątpliwość, tłumaczył natychmiast słuchaczom na rodzimy angielski.

Wprowadzono nas do wielkiej sali, gdzie na środku widniał jasno oświetlony stolik mówcy, reszta sali niknęła w mroku. Była to okoliczność pomyślna, gdyż, nie widząc dobrze audytorium, mogłem skoncentrować się na własnych słowach. Gdzieś daleko usiadł Arthur i John Smith.

Zacząłem mówić. Śmiertelna cisza początkowo cieszyła mnie, jako objaw uwagi, lecz absolutny brak reakcji począł niepokoić: może nie rozumieją ani słowa? W odczycie było kilka zwrotów, pomyślanych jako humorystyczne. Po jednym z nich zrobiłem prowokującą pauzę.

—"Ha, ha, ha,"—zorientował się Arthur. Dołączył do niego John. Na ten znak cała sala ryknęła wielkim śmiechem.

—"Oczywiście, że rozumieli,—uspakajał mnie później Arthur,—ale oni są *very shy*, oni nie chcieli przerywać."

—"*Magnificent lecture*"—dziękował z rozrzewnieniem John po ósmym piwie.

Następnego dnia odebrałem telefon od Miss Scarlet:

—"Chciałabym prosić, żeby pan wygłosił swoją Historię Polski u nas, w parafii East-Cackling."

—"Ależ ja nie pisałem Historii Polski, tylko moją własną historię podczas tej wojny!"

—"Ach, to *jeszcze lepiej*! Więc w piątek, o siódmej. Aha, pan był docentem filozofii w Warszawie, prawda?"

—"Niestety, tylko asystentem profesora. Ale dlaczego panią to interesuje?"

—"O, nic, nic, tak przez ciekawość. Więc czekamy w piątek. *Cheerio*!"

Kiedy w piątek przyjechałem do East-Cackling, uderzył mnie jakiś odświętny wygląd tej miejscowości. Wokoło kościoła parafialnego zbierały się grupki publiczności, a na murach widniały zdala wielkie afisze. Podszedłem do jednego z nich i skamieniałem z przerażenia. Afisz olbrzymimi literami głosił:

W PIĄTEK, O GODZINIE SIÓDMEJ
PILOT OFFICER GUSTAW NIERAD
PROFESOR FILOZOFII UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
WYGŁOSI ODCZYT POD TYTUŁEM:
WOJNA, JAK JA JĄ WIDZĘ.

Potem już przeżywałem wszystko, jak we śnie. Wprowadzono mnie do kościoła, gdzie pastor powitał mnie z ambony.

—"Jesteśmy zaszczyceni,—wołał w uniesieniu,—jesteśmy szczęśliwi, że możemy gościć tak znakomitą osobę!"

W tłumie ujrzałem rozpromienioną twarz Miss Scarlet.

—"Miss Scarlet,—jęknąłem,—ja nie jestem profesorem, *for Heaven's sake*, co oni pomyślą o polskich uniwersytetach! . . ."

Ale już jacyś czcigodni starcy wprowadzili mnie na ambonę. Spojrzałem z wysoka na tłum, oczekujących w napięciu na me słowa parafian, potem na kartki z odczytem, drżące w mej bladej dłoni. Z wysiłkiem skrzywiłem usta w bolesny uśmiech i wystartowałem.

Cisza była i tu również, lecz, gdy po jakiejś kropce zerknąłem w dół, ujrzałem wlepione we mnie oczy i wypieki na twarzach. A niekiedy, w momentach budzących grozę lub litość, dochodziło mnie znaczące wycieranie nosów.

Skończyłem mówić. Chwila śmiertelnej ciszy, a potem—wybaczcie banał—grzmot oklasków. Zszedłem z ambony, jak skazaniec, któremu w ostatniej chwili pod gilotyną darowano życie, i zostałem otoczony tłumem rozgorączkowanych parafian i parafianek East-Cackling, którzy wszyscy jednocześnie składali mi podziękowania i powinszowania.

Ponad ogólnym chaosem huczał triumfujący głos pastora, że nie myliło go przeczucie co do wspaniałości odczytu i znakomitości osoby, tudzież nie omylą go nadzieje zapewnienia parafii East-Cackling trwałej przyjaźni wielkiego filozofa i bohaterskiego lotnika.

Tymczasem dziesiątki rąk ściskały jednocześnie moje obie ręce, lecz wkrótce powietrze zabieliło się kartkami papieru: autograf! autograf!

—"*Ladies and Gentlemen*!—krzyknąłem rozpaczliwie, — *you are wrong*! Nie jestem profesorem i nie jestem asem lotniczym, patrzcie na mą lewą pierś,—goła! —jestem szarym pilotem! *Save your paper for victory*!"

Ale tłum poczytał me słowa za skromność, co powiekszyło jeszcze entuzjazm. Szczęśliwie—o papier już teraz znacznie trudniej, niż przed wojną, więc po albumach, notatnikach i kalendarzykach wyczerpały się i zwykłe kartki, marginesy gazet i zgoła nieokreślone skrawki. Wreszcie spocony, wyczerpany zdołałem się wymknąć przez boczne drzwiczki /t.zw. *the Devil's door*/ na dwór, gdzie przez kilka minut oddychałem ciężko i głęboko.

Miss Scarlet odwiozła mnie parafialnym samochodem do domu. Początkowo milczała, będąc jeszcze pod wrażeniem wieczoru, wreszcie rzekła:

—"*It was a splendid evening, wasn't it?*"

—"*It was*,—potwierdziłem z ulgą,—*thank goodness, it was*!"

GUSTAW NIERAD

Nowy program "Lwowskiej Fali"

"Kochajmy się bracia mili,
Zgoda, jedność od tej chwili,
Bo gdzie miłość i gdzie zgoda,
Tam jest szczęście i swoboda."

Ten czterowiersz starego poloneza przewija się jak nić osnowy przez nowy program Czołówki Teatralnej Wojska Polskiego — "Lwowskiej Fali" p.t. "Kochajmy się," którego premiera odbędzie się dnia 23 marca w m.p. Dowództwa 10 B.K.P.

Na program składają się m.in. dwa skecze "Wysoki Zjeździe" i "Kurs"; "Pieśń dla majora Brzozy," poświęcona partyzantom walczącym w kraju, "Piosenki szczęśliwych dni," "Rozmowa w Szkocji." Szczepko i Tońko, starszy strzelec Makutra, Aprikozenkranc i Untenbaum omówią wiele spraw aktualnych, poufnych, pilnych i tajnych, w "Mojem radio" będziemy mieć przegląd zdarzeń światowych ostatnich trzech lat, a "Szopka 1942 r." ukaże nam szereg postaci z areny międzynarodowej polityki.

Po premierze Czołówka Teatralna W.P. wyruszy w objazd miejsc postoju oddziałów wojskowych w Szkocji.

Szkic sytuacyjny

AUSTRALIA ZAGROŻONA

Wbrew przewidywaniom wyrażonym na tych łamach parokrotnie przez piszącego te słowa, Japończycy kierują się jednak ku Australii. Nie znaczy to, ażeby zaniedbywali Birmy i uderzenia na Indie, ale ich akcja w stosunku do Australii przybiera co raz bardziej takie formy, że *trudno mówić już tylko o dywersji.* Japończycy zyskują co raz więcej punktów oparcia dle przeprowadzenia koncentrycznego ataku na Australię. *Wyspy Salomona, Nowa Gwinea*—wszystkie te działania sprawiają, że wojna zbliża się do Australii co raz bardziej zdecydowanie.

Australia czuje, co się święci i dlatego woła o pomoc do Stanów Zjednoczonych. Jest rzeczą jasną, że nie kto inny, ale właśnie Stany mogą tej pomocy udzielić, że pomoc ta powinna przyjść w formie samolotów, oddziałów wojska i jednostek marynarki wojennej. Wszystkiego potrzeba, najbardziej zaś i najśpieszniej samolotów i to myśliwców dla odpędzania bombowców japońskich. Słusznie zaznacza się w Anglii, że zagadnienie Australii to przede wszystkim sprawa myśliwców i że jeżeli Australia posiadać będzie odpowiednie zabezpieczenie w powietrzu, Japończycy muszą ponieść porażkę, podobnie jak Niemcy jesienią roku 1940 nad Anglią.

Premier Australii Curtin rzucił pod adresem Ameryki wezwanie o pomoc i powiedział jasno i dobitnie, że, jeżeli Australia padnie, to wtedy Stany Zjednoczone będą stały "otworem dla najazdu." Słowa te nie są napewno przesadzone. Jest to jasne jak słońce, że obrona Australii jest czymś bardzo zasadniczym dla Ameryki. Dlatego apel Curtina skierowany do U.S.A. jest apelem właściwym. Nie jest to bynajmniej zdrada starego kraju, *old country*, jest to prosty wynik faktu, że w tej wojnie *wszyscy sojusznicy trzymają się razem* i padają razem i że odnosi się to zarówno do jednej, jak do drugiej strony, do państw demokratycznych, jak i do państw osi.

BITWA U BRZEGÓW JAWY

Admiralicja brytyjska podała do wiadomości, że w starciu morskim, jakie stoczyła marynarka sojusznicza u wybrzeży Jawy marynarka japońska odniosła sukces. 12 jednostek sojuszniczych poszło na dno, w tym dwie jednostki amerykańskie. Japończycy stracili bez porównania mniej, co jest wynikiem dwóch okoliczności: atakowali oni olbrzymią przewagą, a powtóre *posiadają lepsze uzbrojenie w postaci 10-cio calowych dział zmontowanych na krążownikach.*

Koła morskie państw sojuszniczych nie przewidywały, że Japończycy będą montować tak ciężkie działa na krążownikach. Raz jeszcze zemściło się niedocenianie siły wroga. Marynarka japońska jest na pewno groźna i kto wie, czy nie należało by jej dzisiaj przyznać miejsca równego z marynarką U.S.A. (jeżeli wziąć pod uwagę nowoczesność jednostek i ubrojenie).

Lotnictwo japońskie okazało się dobre, zwłaszcza, jeżeli chodzi o bombowce (czteroletnie z górą ćwiczenia w Chinach przydały się Japończykom doskonale). Wojsko lądowe okazało się bardzo ruchliwe, opanowało ono doskonale działania "*ziemnowodne.*" Wojsko to jest dzisiaj istotnie groźnym przeciwnikiem, który posiadł arkana wojny nowoczesnej.

Daje to w sumie nader poważny zespół, a jego rozbicie zabierze lata. Przewiduje się dzisiaj, że pokonanie Japonii, już po rozbiciu Rzeszy, jest zadaniem na co najmniej trzy lub cztery lata. *Wojna na Dalekim Wschodzie przedłuża niebywale wojnę światową.*

BIRMA, INDIE

W danej chwili Japonia zajmuje podstawy wyjściowe, jeżeli chodzi o uderzenie na Australię, ale atakuje Birmę i zbliża się do bram Indyj. Generał Wavell stara się zrobić co można, ażeby stworzyć sieć lotnisk w Indiach i ażeby od razu przejść do akcji zaczepnej. Powiedział on jasno, że wszelka wiara w obronę bierną jest dzisiaj do niczego, że trzymanie sztywnych linii jest zabytkiem starych czasów, i że *trzeba atakować.*

Tym słowom napewno wszyscy przyklasną, albowiem największy nawet laik i cywil wie dzisiaj, że sama obrona nie na wiele się przydaje, że trzeba atakować, że wojna jest ruchoma i że ten, kto czeka na uderzenie przeciwnika zawsze prawie doczeka się niemiłej niespodzianki.

Generał Wavell rozumie, że trzeba najszybciej przywrócić zaufanie do strategii sojuszniczej, która nie może posługiwać się w nadmiernej mierze tłomaczeniami mniej lub więcej gęstymi, stwierdzeniami, że i tym razem było *too little* i *too late*, zamało i zapóźno, co jest tragicznym wykładnikiem od trzech niemal lat naszej niegotowości i braku rozmachu.

Nie wiemy, jak liczebne są siły zbrojne Indii /podobno liczą one *milion* żołnierza/. W każdym razie jest rzeczą jasną, że Indie, jako olbrzymi obszar w oparciu o jeszcze większy obszar Chin, mogą stworzyć bazę do obrony i ataku. Rzecz w tym, ażeby zdążyć na czas. *Czasu zaś jest niewiele.*

STRATEGIA DŁUGIEGO DYSTANSU

Planowanie kampanii na r. 1943 czy 1944 jest rzeczą chwalebną, ale co raz więcej ludzi dochodzi do logicznego wniosku, że *jednak ważny będzie nie r. 1943 ale r. 1942 i że trzeba odpowiedzieć odpowiednim ciosem na próbę knock out'u, jaki państwa osi zamierzają zastosować w tym roku.* Trzeba być przygotowanym na to, że w r. 1942 *dojdzie do największej próby sił jaka znana jest dziejom* i że trzeba stawić będzie czoło niebywałym wprost zadaniom.

Strategia długiego czy dalekiego dystansu przeżywa kryzys. Nie potrafi ona bowiem rozwiązać tych pytań, które życie narzuca *dzisiaj, teraz.* Jak sparować cios, jaki ewentualnie wymierzy Rommel, obecnie przebywający pono w Rzymie zapewne dla ustalenia sprawy dowodzenia w Afryce i pewnych "ostatnich dotknięć" przed kampanią w Libii? Ruch konwojów włosko-niemieckich przez Morze Śródziemne nie wróży dobrze, podobnie jak bombardowanie Malty dniem i nocą.

Uderzenie niemieckie w kierunku Suezu czeka jakby na posunięcia japońskie. Madagaskar także wygląda niepewnie, a zbyt liczne zapewnienia rządu Vichy, że nigdy . . . i t.d. napawają najgorszymi obawami. Podobne zapewnienia słyszano już ongiś—z okazji Indochin.

ROSJA W PRZEDEDNIU OFENSYWY

Postępy sowieckie są niewielkie, ale nacisk utrzymywany jest stale. To jest ważne, albowiem armia niemiecka musi utrzymywać co raz większe efektywy na froncie wschodnim i rzuca do akcji te tysiące, które już były przeznaczone na kampanię wiosenną.

Do tej kampanii stanie też Rzesza mocno wyczerpana, chociaż nie należy się spodziewać, ażeby osłabienie siły niemieckiej wpłynęło decydująco na pierwszy impet. Niemcy będą się starali nadać swojej kampanii *olbrzymią* niejako *szybkość początkową,* celem uzyskania tych sukcesów, o jakie im chodzi. Wiedzą oni jak niebezpiecznie jest przeciągać kampanię w Rosji. Jeżeli w czasie dwóch wstępnych miesięcy nie uzyskają oni w Rosji spodziewanego rozstrzygnięcia, to wtedy powiedzieć można śmiało, że *kampania w Rosji jest dla Rzeszy przegrana,* albowiem zaciąga się na drugą zimę, czyli—na niewiadomo jaki okres.

Wstępne uderzenia niemieckie będą zatem szczególnie silne, wprost wściekłe i armia sowiecka wie o tym dobrze.

SPOTKANIE NA OCEANIE INDYJSKIM?

Liczni komentatorzy wojskowi i polityczni W. Brytanii wyrażają przekonanie, że Niemcy dążą do spotkania z Japończykami—gdzieś na Oceanie Indyjskim. Może to być Zatoka Perska, może być Aden, może być Madagaskar.

Plany te oczywiście brzmią zbyt ambitnie, aby mogły być zaraz urzeczywistnione. Faktem jest jednak, że w tej wojnie niespodzianki, i to największego kalibru spadały na nas raz po raz i że trzeba być przygotowanym na nowe, jeszcze gorsze. W. Brytania wie, że niespodzianka *rendez-vous* na Oceanie Indyjskim nie jest dzisiaj fantazją Juliusza Vernego. Dlatego robi się wszystko, a robić się winno jeszcze wiele, wiele więcej, ażeby do niej nie dopuścić.

Londyn, 15-ego marca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Przegląd prasy wojskowej

Zbliża się wiosna, która zainauguruje najbardziej krytyczną fazę wojny. Pytanie: co ta wiosna przyniesie?—jest na ustach wszystkich. Nic więc dziwnego, że również prasa żołnierska w swych komentarzach i przeglądach roztrząsa to zagadnienie na wszystkie strony. W "Dzienniku Żołnierza," "Nowinach," czy "Skrzydłach" szereg artykułów poświęconych jest przewidywaniom i dyskusjom na temat nadchodzącej wiosny.

Jeden fakt zasługuje przy tym na uwypuklenie: oto prasa, w której odzwierciedla się myśl polskiego żołnierza w W. Brytanii, podchwytuje przede wszystkim głosy, apelujące o bardziej ofensywnego ducha w operacjach sprzymierzonych. Słowa Naczelnego Wodza, wskazujące na konieczność podjęcia przez sprzymierzonych w szczytowym momencie ofensywy niemieckiej na Kaukaz i Suez potężnego przeciwuderzenia także i na zachodzie Europy, jak również głosy brytyjskie, amerykańskie i inne w tym samym duchu, znalazły najżywszy oddźwięk w wojsku polskim, które nigdy nie chorowało na "kompleks Maginota" a teraz, po 20 miesiącach czekania, bardziej niż kiedykolwiek rwie się do akcji.

Na tym tle szczególne zainteresowanie wywołują te zapowiedzi, które świadczą o przekształcaniu się naszego wojska w Szkocji w korpus o przeznaczeniu wybitnie ofensywnym. Stwierdzenie przez Naczelnego Wodza, że zapadła już ostatecznie decyzja stworzenia na terenie W. Brytanii polskiej dywizji pancernej odbiło się głośnym echem w prasie żołnierskiej, jako zapowiedź wielkich wydarzeń.

Skoro już mowa o zagadnieniach organizacyjnych, ważną sprawę porusza artykuł A. Płodowskiego w doskonałym dwutygodniku "Skrzydła." Chodzi o zagadnienie dopływu świeżych sił do lotnictwa. Lotnictwo nasze jest ciągle w akcji. Ponosi ono straty, w rezultacie których personel bojowy kurczy się. Toteż sprawa uzupełnienia zastępów lotniczych jest ogromnie doniosła.

Jednakże sprawa nie przedstawia się niepomyślnie. Oto, co piszą "Skrzydła," nawiązując do przybywania lotników z Rosji:

"*Dziś już nie ma obawy, że gdyby wojna potrwała jeszcze długo, szeregi naszych Sił Powietrznych mogłyby gwałtownie się skurczyć i że zmuszeni bylibyśmy powrócić do kraju z garstką zwycięskich niedobitków. Pierwsze kontyngenty już się szkolą, dalsze napływają, a jak wynika z oświadczeń polskich i rosyjskich czynników miarodajnych, wszyscy lotnicy polscy dotychczas przebywający jeszcze na terenie Z.S.R.R. przybędą do W. Brytanii by nadal, jak w Polsce, służyć w szeregach lotnictwa.*

Już dziś Polskie Siły Powietrzne stanowią siłę potężną. Jednocześnie otwierają się przed nami nowe możliwości: podwojenia i potrojenia sił."

Wszystko, co dotyczy lotnictwa, budzi szczególne zainteresowanie wśród żołnierzy sił lądowych. Ale skarżą się oni, że jeszcze za mało wiedzą o lotnikach. Zagadnienie to porusza artykuł w "Nowinach Pierwszej Brygady Strzelców," apelujący o nawiązanie bliższego kontaktu z lotnikami. Autor artykułu podkreśla, że ze względu na odmienne warunki bytu lotników, którzy ciągle walcząc i mając kontakt z nieprzyjacielem mogą rozszerzyć swój horyzont wojenny, i żołnierzy, którzy znów mogą się dokształcać i więcej czasu mają na przemyślenie różnych zagadnień, wymiana poglądów byłaby bardzo cenna. Na podstawie rozmów z lotnikami autor stwierdza, że ubolewają oni z powodu niemal zupełnego braku kontaktów żołnierskich między lotnictwem a wojskiem lądowym. Jak temu zaradzić:

"*Może najprostszą, a równocześnie najbardziej dostępną dla każdego jest droga korespondencji z lotnikami, czy marynarzami. Jest wśród nich z całą pewnością bardzo dużo takich, którzy chętnie będą otrzymywali listy ze Szkocji i skrupulatnie na nie będą odpisywać. Taka korespondencja scementowałaby wewnętrznie żołnierzy poszczególnych rodzajów broni, dałaby wiele materiału do dyskusji i przemyślań. Dla reszty należało by zorganizować wzajemne odwiedzanie się w czasie urlopów. Jeszcze szersze możliwości, o innym zresztą charakterze, posiada inicjatywa zbiorowa różnych kół czy zespołów.*"

Szersze zagadnienie natury—żeby się tak wyrazić—wewnętrznej porusza artykuł w "Dzienniku Żołnierza" pod wymownym tytułem: "Czy nie trwonimy czasu?" Autor zastrzega się, że nie jest ani ks. kapelanem, ani oficerem oświatowym, ani nawet podoficerem i że nie mówi "z urzędu." Nie mniej wzywa do zrobienia rachunku sumienia, pisząc:

"*Wydaje się, że gdybyśmy tak nagle znaleźli się w Kraju bez poważniejszych przygód wojennych, to ciężko byłoby złożyć sprawozdanie z naszego pobytu w Szkocji, zwłaszcza gdyby przyszło zdawać relacje w obecności marynarza, lotnika, kolegi z Tobruku i Rosji Sowieckiej.*

I nie w tym rzecz, że nie walczymy w Szkocji, bo nie możemy się bić między sobą, a tym bardziej z gospodarzami. Na szczęście po kilku "amatorskich spotkaniach" na tym "odcinku" nastąpiła przerwa, która oby trwała w nieskończoność, tym bardziej, że ciągłe jednostronne wyniki tych spotkań zaczęły już obie strony nudzić.

Chodzi natomiast o to czym wypełniliśmy wolny czas."

Na ten właśnie temat użycia czasu wolnego autor dochodzi do wniosków pesymistycznych, może nawet zbyt ponurych. Skarży się, że znajomość angielskiego jest wciąż jeszcze nikła, że stosunek do dorobku wydawniczego jest bierny, że żołnierze zamało czytają. Że rzeczą, która najbardziej wypełnia wszystkim wolny czas są—karty.

Jest w tym, być może, trochę przesady, jest trochę uogólniania, ale niewątpliwie jest sporo prawdy. Nie ulega wątpliwości, że moglibyśmy lepiej wykorzystywać nasze wolne chwile, niż to czynimy.

Szczególnie dobrze wykorzystalibyśmy czas, jeżeli pamiętalibyśmy, że naszym podstawowym obowiązkiem jest propaganda. Inny artykuł w "Dzienniku Żołnierza" formułuje na ten temat szereg bardzo trafnych uwag:

"*Niech każdy z nas "bezrobotnych" żołnierzy i cywilów pamięta i czuje, że jedynym sposobem czynienia obecnie czegoś konkretnego i wartościowego, jest szerzenie propagandy polskiej. To jest obowiązek wolno żyjących Polaków, ważny, który mamy spełnić!*

Podsumujmy—każdy dla siebie—"propagandowy" bilans naszego pobytu na Wyspach. Czy, prócz ogólnej, ale podstawowej pozycji: "dobrego zachowania się" mamy inne? Czy i środowiska szkockie, w których obracamy się, wiedzą coś o sprawach Polski? Czy wiedzą jaki jest wkład Polski do wojny i jakie jest jej stanowisko? Czy powiedzieliśmy Brytyjczykom prawdę o sprawach, które są nam bliskie a im dalekie i nieznane, często fałszywie przedstawiane?

Przestańmy zbytnio myśleć o własnym podwórku, wyjrzyjmy na świat. Przestańmy zajmować się ciągłym reorganizowaniem życia, zacznijmy myśleć o innych sprawach.

Mamy tu niezwykle liczną prasę polską, żarabiamy często sami na sobie, a tworzymy przecież mimo wszystko bardzo ściste grono. Lepiej piszmy po angielsku, nie po polsku, wyjdźmy ze sprawami Polski—na zewnątrz i dajmy je poznać gospodarzom. Wierzymy, że z pożytkiem dla Polski i losów tej wojny.

Starajmy się robić propagandę polską nie tylko "urzędowo," ale też "prywatnie." Poświęcajmy temu trochę czasu i energii. Własne wysiłki mogą dać tutaj znaczne i jakże potrzebne rezultaty. Takie wysiłki stanowią zawsze dużą część roboty propagandowej. W hierarchii spraw i zagadnień, postawmy propagandę polską na właściwym, zatem szczytowym miejscu."

Powyższe głosy, pochodzące z żołnierskich baraków, świadczą nie tylko o tym, że żołnierz polski w W. Brytanii umie poddać się samokrytyce, która oby była jak najbardziej twórcza. Świadczą one również, jak bardzo ma on dość dotychczasowego "zbrojnego bezrobocia." I dlatego—by wrócić do punktu wyjścia dzisiejszego przeglądu prasy wojskowej—tak usilnie nasłuchuje, czy wiosna 1942 nie przybliży i dla niego godziny czynu.

LEKTOR

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.